



RAMOTY I RAMOTKI.

Ramoty i Ramotki

Augusta Wilkońskiego.

Wydanie nowe i zupełne.

Z zyciorysem autora

przez

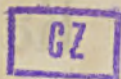
K. Wł. Wojcickiego.

Z popiersiem autora

Feliks Kwir
Warszawa.

Tom IV.

Poznań,
nakładem i czcionkami Ludwika Merzbacha.
1862.



58614

884-1/-9(081) Wellwolsu

Wolno drukować z warunkiem złożenia w Komitecie
Cenzury po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby
egzemplarzy.

W Warszawie dnia 2 (14) marca 1857 r.

Cenzor, Radzca Dworu *Stanisławski*.

Biblioteka Pedagogiczna w Radomiu
nr inw.: K - 58614



BGZs 58614

W uśmiechu każdym zapałem siebie,
Zapałem gorycz, com ją wciąż pił;
— Raz tylko jeden na mojem niebie
Promyk radości jasno się lśnił.

O OWCACH I OWCZARZU.

Po raz trzeci ozwał się żyjący zegar na poddaszu słomianej strzechy, w której się wczoraj przed straszliwą burzą na nocleg schroniłem; że zaś do tej rozgłośnej *pobudki* dołączyło się i silne skrzydeł uderzenie, domysliłem się, że już nie zadługo pożądany dzień dla mnie zawita.

Od pierwszych lat mojej młodości koguta nad wszystkie inne przenosiłem ptaki; — a był u mojego ojca dawny towarzysz broni, stary kawalerzysta, który nas młode pacholęta konno uczył jeździć, — ów to weteran, którego opowiadań słuchaliśmy często z najwyższém rozognieniem a zawsze z przykładną uwagą, tak nam raz domowe ptaki określił: „Gęsi to są białe mieszcзки, kaczki to są żydówki, indyki to są na zimno i na słoty niewytrzymałe szlachcianki, pawie to są ci *panicze*, których całą zaletą jest błyszcząca powierzchowność!!..“

— A koguty? zapytałem skwapliwie.

— Czy tobie podobają się koguty?...

— Bardzo mi się podobają.

Stary wojak podniósł mię na swoim ręku i ze łzą w oku serdecznie ucałował i spojrzał ku niebu i z rozczeniem wymówił: „Będzie z niego żołnierz...” i byłem całą duszą żołnierzem i jestem i będę żołnierzem...

Zabeczało cielę w sąsiedniej komorze, odezwała się krowa w poblizkiej oborze. — *Kruczek* na podwórku zaszczeakał, Wojciech, gospodarz chaty, podniósł się z posłania, zajrzał do okienka a potem do swojej żony zaszeptał:

— „Już gwiazdy nie widać; — Małgorzato! wstawajcie! podróżny pan kazał się rychle obudzić, potrzeba nanieć ogień i krowy przydoić, aby mu dać grzanego mleka na śniadanie.”

— Bóg wam zapłać, gospodarzu, ale pewno macie tylko jedną krowę; cóżby na to powiedziało cielę, gdybym mu jego śniadania uskapił. Lubię mleko, lecz dzisiaj przez grzeczność dla cielęcia napijemy się gorzałki.

— Wielmożny pan nie śpi, to pewno ten hałasnik pod dachem wielmożnego pana przebudził.

— Ja rad jestem, kiedy mnie kogut ze snu obudzi.

— Miałem ja tu łońskiego roku koguta, co go było słyhać na milę; piękniejszego podobnom nie widział przez życie.

— I cóż się z nim stało?...

— Naparł się kowal z Glinianki i dał mi za niego siekiere; a właśnie nie miałem siekiery, bo mi ostatnią zabrał Jacek, nasz pijak gajowy.

— Tożecie zapewne w zakazanym dniu po drzewo do lasu jeździli.

— A juści że w zakazany, bo w porębnym dzień chodziłem z ekonomskimi włosami do owczarza po jakieś tam leki na darcie, którego dostał w prawą łopatkę, tak że i ręką ruszyć nie mógł.

— Kiedy więc w dniu porębnym chodziliście za ekonomskim interesem, należało ekonomowi powiedzieć, że wam siekiere z jego winy zabrano.

— Byłem u pana ekonoma, alem nic nie wskórał; rzekł mi, że mógłem czekać do piątku, do drugiego dnia porębnego; łatwo to przy gorącym piecu kazać zaczekać do piątku; — na dworze był trzaskający mróz, w chałupie kobieta chora, dzieci uziębłe, a przecież i człek chciał mieć przy pracy gotowane jadło.

— Wyrządzono wam niesprawiedliwość; ale do jakiego to owczarza chodziliście z ekonomskimi włosami?

— Ztąd nie będzie jak ze trzy mile; — czy wielmożny pan o naszym owczarzu nie słyisał?...

— Nie słyisałem.

— Proszę wielmożnego pana, adyć to tam ludzi zawsze u niego jakby mrowia.

— Czy on pomaga?...

Nie wiem, jak komu ale co naszemu ekono-

mowi to wcale nie pomógł; a i zduny jeździli ze swoją córką i, chociaż ję mówił, że za 20 dni będzie zdrowiuteńka, to jak była kaleką, tak jest kaleką. Jednakże musi on tam pomagać komu, boćby przecie panowie do niego nie jeździli.

— Jacyż to panowie jeżdżą do tego owczarza?...

— A panowie! karetami, koczami; dziedzice, dzierzawcy, ba nawet i księża; i z Warszawy przyjeżdża bardzo wiele starszyny, het wszyscy jadą.

— Jak to, — naumyślnie do tego owczarza?

— A juści że naumyślnie.

— Mówicie, że ztąd 3 mile.

— Bo i nie będzie więcej. Do Kalonki mamy jedną milę a z Kalonki kamiennym gościńcem dwie milki.

Podezas téj rozmowy Małgorzata naciesiła ognia. Ubierając się, postanowiłem odwiedzić tyle sławnego owczarza. Gdym wyszedł do mojego woźnicy Jędrusia, już konie były oczyszczone i właśnie drugą oś u telegi smarował.

Był to przepyszny poranek przy końcu miesiąca lipca; blady brzask jutrzeńki ustępował różanym gońcom, co z każdą chwilą coraz więcej złocistego nabierały połysku. Sklepienie nieba i całej ziemi widnokrąg boskie dnia światło odkryło. — Na ciasnym podwórku ubogiej zagrody pług i narzędzia rolnicze budziły

myśl do pocziwój pracy. — Zewsząd szerzył się uroczy głos życia; — śpiew ptasząt, rozmowy ludzi, ryk bydła, rzenie koni, rosły w ten niewysłowny gwar wiejski, co tak tkliwie do czystej duszy człowieka przemawia. Chwilę sielskiej zadumy przerwał hałasnik z poddasza, który, poważnie krocząc z nogi na nogę, zbliżał się do stajni; miałem więc sposobność poznania głośnego rycerza i przypatrzeć się jego połyskującym się piórom, jego zawadyackiej postawie, jego czerwonemu grzebieniowi, co to tak groźnie porusza się nad zaczepnym spojrzeniem zawsze do walki chętnego młodzieńca.

Domysłając się, że pan żołnierz jest jeszcze na czczo, wydmuchałem z obroku kilka garści owsa i rzuciłem przed wojskie gardło waszeci. — Spostrzegłszy gołe ziarno, krzyknął kawaler; przyskoczyły czubate kury i pstre kurczęta, przykołysały się z chlewika poważne gęsi, zjawily się łakome kaczki i cały ród pierzasty, na który Małgorzata radosnym spoglądała okiem, wspólne pożywał śniadanie. — Tymczasem cięle, przez Marysię do obory wpuszczone, czerstwemi dziąslami zmuszało mamulę krowę do najobfitszego przypuszczania mleka; Jasko na siwym koniu z nocnego pastwiska powrócił; nierogacizna szukała przejścia w chróścianym płocie, aby najbliższy ogród warzywny nawiedzić można; a i trzy czarne owieczki stały przy wrotach

podwórka, domagając się głośno, aby je na trawę puszczono.

Ten malowniczy obraz dozupełniony został małym jasnym chłopczykiem, który boso, w białej koszulce, stanął na progu chałupy i już to witał się z Kruczkim, stróżem zagrody, już to spoglądał na srokiego bociusa, co, stojąc na czerwonej nodze, przypatrywał się z wierzchołka starego dęba, jak jego dzieci na poblizkiej łączce za żabami chodziły.

Marzenie o szczęściu wiejskiego życia ludu naszego zniszczył ochrypły głos ekonoma, co krzyczał, aby trojgiem wychodzili na pańszczyznę. Że zaś Jędrus już konie do telegi założył, podziękowałem więc gościnnemu Wojciechowi za nocleg, pożegnałem się z Małgorzatą, z Marysią, z Jąskiem i z maleńkim Maciusiem i wskazaną mi drogą ruszyłem do owczarza lekarza. Nie był to wprawdzie wczorajszy cel mojej podróży; ale dzisiejsze opowiadanie chłopka, że do owczarza trudno się przed panami przecisnąć, że tam jak mrowia schodzi się ludzi, którzy u niego lekarskiej szukają pomocy, powiodło i mnie dzisiaj do mniejsza, w którym spodziewałem się znaleźć obfity przedmiot do napisania ramotki. — Już w Kalonce spotkałem kilka powozów warszawskich, naładowanych choremi, nieco dalej jedzie bryczulką szlachcic o szczudłach.

— Czy pan dobrodziej do owczarza?

— Do owczarza, panie dobrodzieju!

Wjeżdżam w las, toczy się landara, pełna kobiet i dzieci; — pytam się służącego, który, siedząc na tłomoku, oczy z kurzu wycierał:

— Do owczarza jedziecie?...

— Do owczarza.

Głębiej w las idą posłańcy z flaszeczkami; — mija mnie ekstrapocztą z oficerem, który miał materacykami twarz owiązaną; — i znów bryczka z dwoma paniami i znów koczyk z wywiedłym kawalerem, ani wątpić było można, że i młodzieniec do owczarza spieszy. — Począłem się niecierpliwić, rychłoli zobaczę tak bardzo wziętego Eskulapa, aliści wreszcie las począł swe ciemne czoło rozjaśniać i pokrótce ukazało się dojrzewającym zbożem okryte pole i tuż przy lesie widać murowany dom zajezdny a na około karety, landary i kocz, — bryki, bryczki i bryczułki, — wozy, wózki i wózeczki, a ludu rozmaitego stanu, płci i wieku — nie skłamał Wojciech, gdy mówił, jakby mrowia.

O umieszczeniu moich koni pod dachem ani myśleć było można.

— Jędrus, naści złotówkę na strawne, daj koniom siana na murawie a pilnuj się, żeby kto od nas czego nie pożyczył.

— Niech się jegomość nie turbuje, już ja tu dam baczność. —

W ten sposób zapewniony przez Jędrusia, że się nie mam potrzeby turbować o bezpie-

czeństwo rzeczy moich, wyskoczyłem z telegi i pośród tłumu różnorodnych osób udałem się do gospody.

W obszernej i porządną izbą szynkowną ładna rudowłosa gospodyni na czele trzech zwinnych dziewcząt zatrudniona była przy kominie nalewaniem kawy i herbaty; — zamarszczona i umorusana kucharka wałkiem tłukła wołowe mięso na pieczeń czy bifszyk (beefsteak); — usmolony chłopak skubał przy piecu kurczęta na rożen; — sam zaś gospodarz stał za szynkwasem i sprzedawał gorzałkę, zapewniając pytających się o owczarza, że pan owczarz niezadługo przyjedzie.

— Więc on tutaj nie mieszka?

— Mieszka pół mili ztąd, w lesie, ale jeno go widnać.

— Proszę pana — ozwała się obok stojąca wiejska kobieta, — my tu już dwa dni czekamy.

— Jak to? — dwa dni czekacie? To się nie godzi, aby dozwolił chorym ludziom dwa dni czekać na siebie i narazić ich przez to na stratę czasu i pieniędzy.

Obejrzał się na mnie gospodarz, zmierzył mnie badawczym wzrokiem i uprzejmie zapytał, ażali nie raczę odpocząć w jego pokoju, który to pokój jest połączony przez szynkwasa, w murze wybity, z wielką izbą szynkowną. Przyjmując zaproszenie, zażądałem szklankę kawy; — gospodarz krzyknął: — „Żono! kawy dla pana ale

zaraz!“ — i podał mi krzesło i oświadczył, że pan konsyliarz niezadługo przyjedzie.

— Czy ten wasz konsyliarz jest rzeczywistym lekarzem czy tylko *szarlatanem*?...

— Mówią *ludzie*, że pomaga.

— Pan z nim na spółkę dzierzawisz ten dom zajezdny?

— A nie! on trudni się samém tylko leceniem.

— Dla czegoż dozwala, aby chorzy po dwa dni na niego czekali!

— Wyjeżdżał do Siedlec i dopiero wczoraj rano powrócił.

— Mieszkając tylko o pół mili drogi i wle-dząc, jak wiele ludzi na niego oczekuje, mógł przecież od wczoraj rana przyjechać...

— On miewa czasem takie chimery; ale jeno go widnać, już dwa razy posyłałem dzisiaj po niego.

Napiwszy się kawy z cykoryą, wyszedłem przed bramę w zamiarze pomówienia z tymi ludźmi, którzy po pomoc lekarską do owczarza przybyli i nadspodziewanie spostrzegłem do-tkliwą chorobą wycieńczonego wieszczą, znanego z szlachetnych uczuć i z wielkich nieszczęść swoich.

— Cóż ty tu porobiasz?... zapytałem go z drżeniem serca.

— Przyjechałem z chorym bratem moim; obydwaj szukamy u owczarza pomocy, której nie znaleźliśmy u doktorów.

- Gdzież jest twój brat?...
- Leży w łóżku po 2 numerem.
- Czy pozwoli się odwiedzić?...
- Owszem, będzie mu przyjemno.

Dwie godziny spędziłem pod 2 numerem; brat poety opowiadał mi, że już przed 4ma tygodniami był u owczarza, że on odgadł jego chorobę najzupełniej, że mu *nico* pomógł.

— Biedna to pomoc, — pomyślałem w duchu — kiedy tak nędznie wyglądasz. — Jakież to człowiek ten owczarz? czy on udaje nieumiejętnego, czy istotnie posiada jaką naukę?

— Żadnej nauki; jest to po prostu owczarek bez najmniejszego ukształcenia w mowie i w całym swoim obejściu.

— Jakżeż on mógł odgadnąć twoją chorobę i jakżeż mógł wpłynąć na polepszenie twojego zdrowia?

Chory ruszył ramionami i po chwili milczenia odpowiedział:

— Poznał chorobę i pomógł mi cokolwiek. — Mówił to do mnie człowiek bardzo rozsądny, ale człowiek w kwiecie wieku najboleśniejszą dotknięty chorobą a więc pod wpływem rozpaczy i nadziei, człowiek, dla którego wiara w nadnaturalność stawiała się ulgą moralną a więc i chwilowo fizyczną, człowiek, któryby i we mnie pokładał wiarę lekarską, gdybym go leczyć chciał. Obydwaj bracia budzili we mnie

litość najwyższą i chętniebym największym poświęceniem się ich życie przedłużył, obadwaj bowiem do najszlachetniejszych ludzi należą. Skarga poety, że już drugi dzień na owczarza czekają, oburzyła mnie na nowo i natychmiast wyprawiłem umyślnego posłańca do pseudo-lekarza, ażeby przyjeżdżał niebawem, jeżeli się nie chce narazić na *najdobitniejsze* napomnienie.

Tymczasem rozeszła się pośród czekającego ludu wiadomość, że owczarz już wyszedł z domu i że niezadługo nadejdzie; przyjechał jakiś opuchły jegomość, który był u owczarza w jego pomieszkaniu i zapewniał, że mówił z owczarzem i że pan owczarz przyrzekł za godzinę przyjechać. Przyjechał pan sekretarz pana owczarza i oświadczył, że pan konsyliarz wyszedł na polowanie i, skoro kilka ptaszków zabije, przyjdzie najniezawodniej. Pan sekretarz pana owczarza odjechał do pobliskiego miasta; słyszeliśmy wystrzały po lesie, więc pan owczarz daleko od nas być nie mógł; — powrócili posłańcy, donosząc, że owczarz zabił trzy ptaszki i że niezadługo nadejdzie; — gospodarz szynkarz podając gościom rachunki zapewnił, że *tylko co nie widnąc* pana owczarza; powróciły baby z lasu, przynosząc uzbierane zioła, i zaklinały się, że widziały pana owczarza; przyjechał chłopiec z furką gałęzi i mówił, że pan owczarz czwartego zabił ptaszka; — jam już począł rozmyślać, czy należy mu skórę wygar-

bować, jak się pokaże, gdy naraz kilkunastu zawołało ludzi „*Idzie! idzie!*”

Zgłodniały jastrząb po najdłuższem oczekiwaniu na zdobycz nigdy się z taką szybkością nie rzuci na spostrzeżonego ptaszka; przez noc całą czychający kot nigdy z taką chciwością nie skoczy nad ranem, gdy się myszka z ukrycia wynurzy, z jaką szybkością skoczyli ku owczarzowi oczekujący na niego chorzy i kalecy; niczem jest radość rozpaczającej kochanki, gdy drogi kochanek po pełnej niebezpieczeństw wojnie nadspodziewanie przed jej zapłakanemi pojawia się oczyma; niczem jest skwapliwość ubożego żydka, gdy po najdłuższych świętach zdarzy się dla niego pierwsza sposobność handlu, — w porównaniu z radością, jaką okazał na widok owczarka lud, wierzący w jego lekarską potęgę.

Z przewieszoną na ramieniu strzelbą szedł wolno, niedbale i obojętném okiem spoglądając na liczne zastępy, które mu zewsząd zabiegały drogę; ani najlżejszém skłonieniem głowy nie odpowiedział na mnogie ukłony witających go osób.

Na moje zapytanie, dla czego tak długo polował, rzucił gniewne spojrzenie i odrzekł: „Gdzie jo tam polował.” Gdy przyszedł do szynkownej izby, oddał strzelbę uniżonemu dlań gospodarzowi; następnie obydwoj szeptali w przybocznym pokoju przez minut pięć; potem po-

szedł do stajni obejrzeć swojego konia; potem wypił butelkę porteru i rękawem oczyścił wąsy i usta swoje; potem przycisnął palce do nosa dla wypłoszenia bobaka; potem ziewnął i przeciągnął ramiona i ręce do góry, jakby po niewyuczasiu; potem odchrząknął i splunął i przystąpił do cisnącego się tłumu, — aby w jasnowidzeniu na jawie ogłaszać łatwowiernym wyrocznie przyszłości, teraźniejszości i przeszłości ich zdrowia.

— Ale no gorzej, że mój człowiek nie powrócił jescze z miasta a jo tam pisać nie umiem.

— Jeżeli pan pozwoli, ja będę pisał.

Spojrzał się na mnie pan owczarz i odpowiedział: „A kiedy umieta pisać, to piscie.” — Poskoczyłem z radością po papier, pióro i atrament; udaliśmy się do gościnnego pokoju i zaczęła się komedia śmieszna ale oburzająca.

Pozwolisz, panie konsyliarzu, że ja najpierw zapytam się o radę; czekam dwa dni, jestem bardzo cierpiący. *)

*) Czytelnikom tej ramotki zaręczam pod słowem uczciwości, że należę do najzdrowszych ludzi na świecie. Jem, śpię, trawię, jak tylko można najlepiej; — żadnych, ale to co się nazywa żadnych nie czuję dolegliwości ani w boku, ani na dołyszku, ani w piersiach ani w krzyżu. Głowa, zęby, oczy, nigdy mnie nie zabolaly ani na chwilę, wyjąwszy gdy w ciemności czołem w cegłę albo w twarde drzewo uderę. Miewam wprawdzie około 1ej z południa pewne mdłości żołądkowe, ale jeden talerz rosołu i dwa funty pieczonej wołowiny są dla mnie na tę słabość doświadczone i najskuteczniejszym lekarstwem.

Wziął moje rękę mniemany doktor i trzymając ją przed swoim nosem, nie z dłoni ale z wierzchu ręki, przymrużywszy oczy, czytał, co następuje:

— Wrzody na wątrobie, kanały zaflegmione, kurec żołądka, fluks i romatyzm; przed dwoma laty było nadęcie kiski, *dresc* i zimne poty, gorzki smak w gębie i grucwały strofulicne na syi. Pon się przeziębiał za młodu, potrzeba było z razu kąpać się w tatoroku z liśćmi z łopianu, okładać *krzyże* i *żołądek*, teraz to już nic nie pomoże i należy robić to, co ja tu poddyktuję.

— Ale ja miewam także szum w głowie.

— To się wie, psecie powiedziałem, że pon miewa *dresc* na ciele i sum w głowie.

— Czasem puchną mi nogi i ręce tężeją.

— To się wie, z przeziębienia zawsze nogi puchną.

— I sypiać nie mogę.

— Jak się kanały wycysną z flegmy, będziesz pon sypiał *kwardo* jak kamień.

— Pozwolisz pan sobie jeszcze powiedzieć, że ja przed rokiem miałem tak silne uderzenie krwi do głowy, że przez cały miesiąc nie widziałem i nie słyszałem.

— Nie trza mi tego powiadać, bo ja wszystko widzę i wiem i mówiłem, że strofuły są; to one się rzuciły na *ocy* i na *usy*.

— Potem przez pół roku miałem krótki

oddech i czułem ból w lewém uchu tak wielki, że często wytrzymać nie mogłem.

— Naturarnie ze krótki oddech, kiedy wrzody są na wątrobie; a ze lewe ucho bolało, to pochodzi ze skrofulów zaziębionych za młodu, i jechaliście tak, że z lewej strony mroźny wiatr dokuczał, jak ja powiedział; mnie nie trzeba gadać, ja wszystko wiem — niech pan pise:

1. Podbiału liścia, ślazu korzenia, bluscu z grabu, po garści dwuręcznej, — wodą mięką nalać, żeby się gotowało pod spontem (nie kwardo); 2 godziny po wygotowaniu odcedzić i pić co kwadrans po kielisku, a osobiłwie przy tych napojach wziąć lebiodki ziela pół funta, macierzanki tak samo i tataraku korzenia funt 1, razem ugotować w kotle z kwaterką soli i wylać do wanny i w tej się kąpać rano i wieczór w tej samej ogrzaniej, — jak robi uderzenie, wyjść. — Kąpiele nie gorące, po każdej kąpieli utrzyć zywokostu na tarce, świeżego, i korzenia wyciągaca tak samo, krwawniku listków, i do tego dołączyć spirytusu, oliwy, masła niesłonego i pselnej maści, wszystkiego po trochu i żywicy świerkowej stopić, precedzić *bez* durslag lub serwetkę, rozsmarowywać na chusteczkach niekrochmalnych i kłaść niżej krzyża.

— Mam ja jeszcze włosy mojej siostry; czyliby pan nie był łaskaw obaczyć, na co choruje. — Wyjawszy z kieszeni włosy, które przed

godziną ustrzygłem Jędrusiowi, mojemu woźnicy, podałem je owczarzowi; — były to włosy miękkie, konopiaste.

Pan owczarz badawczo pomacawszy włosy i znalazłszy je miękkie jak jedwab', zaczął prawić z największą pewnością:

— To źle; ona nie miewa, jak się należy, przypadłości i po matce dostała hemoroidy, co ją dręca, a ze jest krwista i ma słabe nerwy z urodzenia, więc się choroba wzmacnia i potrzeba rychło zaradzić, bo wam umrze dziewczucha a szkoda, bo musi być ładna, sak niebieskie ma ocy.

— Owszem czarne.

— To się wie, że carne, jo tak tylko powiedział, ale jest psyjemna; niech jeno pon pise:

2. Podbiał szlaz, izopu łodygi, sałwia tak samo po garści i lukrecyi drzewa kawałek, cola wielkości do garka garcowego z wodą mięką pod spontem gotować godzin dwie, przecedzić i pić letnio kilka razy w dzień, jak najęściej; — a na noc miodu starego do sklonki mleka przegotowanego dolewać podług upodobania. — Osobliwo na każdą noc: zrost i zywokostu korzenia pół na pół pokrajać dobrze i zmieszać na wpół z tłustością wieprzową młodą nie słoną; — ugotować pod spontem a po wygotowaniu dobrze utrzeć i jak kataflazmę przy-

kładać ciepło na deskę piersiową, to dobrze obwinać i przez całą noc trzymać tak, aby powietrze nie zachodziło, na dzień świeże i to ciągle przykładac przez miesiące dwa. — Ta sama kataflazma może być odgrzewana dwa razy, dodając tłustości. Trzy razy zaś dniem niechaj ta osoba pije po pół kieliska krwi, z wróbla utoconej. *)

Owsiany kleik zaleca się.

Dieta: kwasów zadnych, pieprzu, wieprzowiny i rzeczy rozpalających nie używać, słonych rzeczy nie używać także.

Barsc i cytryny można. —

— Mam ja tu jeszcze wodę mojego dziadka; jest on bardzo stary i zupełnie łysy, nie mogłem więc przywieźć jego włosów, ale tam u nas powiadali, że pan konsyliarz i z wody pozna każdą chorobę.

— To mnie wszytko za jedno, cy z włosów cy z wody, niech pan pokaze.

Podałem flaszkę z moczą lejcowego wałacha (sic).

Pan konsyliarz, przypatrzwszy się wodzie, kiwnął głową i rzekł: Starość nie radość, zwyczajnie nie statkował za młodu, potrzeba przy

*) Znam żonę zacnego urzędnika z Warszawy, której także ten sam owczarek wróbla krew trzy razy na dzień pijać polecił.

końcu pokutować; pański dziadek *) ma skwardnienie wątroby, zganienie i rumacizm w krzyżu, hemoroidy i nieczyste kanały a przedewszystkiem miewa cierpienie w pęcherzu, niech pon pise:

— Maruna, melisy i macierzonki, wszystkiego po scypce do kwartowego garnka w wodzie miękkiej gotować 1½ godziny, precedzić i pić dosyć ciepło trzy razy dziennie — pić przez dni 15.

Osobliwo zaś: — tatarakowego korzenia dwa funty, lebiudki funt 1, gotować w kotle i wlewać do wanny, w tej kąpać się rano i wieczór; woda ma być pod pachę. *Po każdej kąpieli* pić gotowany jałowiec i jeszcze przetopić z łyżką masła niesłonego i pół kwaterki wina węgierskiego, tém polewać, jak powiedziano, i to robić przez dni dziewięć.

Potem pijawek na samém sercu postawić w okręgu talara; jak krew zupełnie ustanie po 3—4 godzinach położyć synopizmę na te miejsce, gdzie byli pijawki.

Goić śmietanką po wyjściu wody. **)

Dieta: kwasów i wieprzowiny nie używać i nic rozpalającego.

*) O dziwy! Wieg oddawna zmarły dziadunio miałby dzisiaj być kasztanowatym wałachem!???

**) Jako wierny historyk jasnowidzenia nie zmieniam ani składek ani wyrażań.

NB. Śliwki *Adamaski*, za żelazną bramą. —

Już mi cierpliwości zabrakło i miałem mu rzucić w oczy kałamarz z atramentem, gdy bardzo otyła kobieta przecisnęła się do pokoju i z płaczem prosiła, aby jej pan owczarz dał posłuchanie, twierdząc, że jej jest bardzo pilno do domu.

Konsyliarz rozumiejąc, że ta kobieta jest cierpiącą, chwytą ją za rękę i roztwiera usta do ogłoszenia swego jasnowidzenia na jawie, lecz tłusta jejmość wyrывa z przełknięciem swoją rękę i z gniewem rzecze:

— Jam nie chora, to mój brat waryat, co mu pan doktor kazał pić odgotowany żywokost ze stręczynami z bobru i z ogonem od czarnego barana i okadzać głowę trzy razy na dzień żywicą z jedliny.

— No i cus? cy robił, com jo mu kazał?

— A robiliśmy wszystko, ale on jak waryował tak waryuje i wczoraj potłukł mi garnki i talerze, a pan doktor mówił, że on za 15 dni będzie zdrów.

— A któż to kazał pić? jo mówił, żeby się w tej wodzie kąpał. O lo-Boga, lo-Boga! co wy tes za ludzie jesteście! A to szczęście, że nie umarł! — A cus? cy kataflazmę z brzozowego mesiku, w serwatce z tureckim pieprzem gotowaną, przykładał regurarnie za usami?...

— Pan kazał mu kłaść na karku nie za uszami.

— Łzes, pani! ja tego nie mówił, bo od waryacyi zawse kazę kataflazmować za usami; — to tak nie dobrze słuchata i tes wszystko nie dobrze. Naturarnie kiedy nie robita, jak *kazę*, więc tes wszystko na psa się zdało; — a bo jo to raz jednego albo dziesięciu od waryacyi ulecył? To ze jus latosiego roku trzech waryatów wylecyłem i jesce mi dziękowali; ale kazdy z nich robił, jak jo przepisał i nie pił tego, w cem ja się kąpać kazał.

— Więc cóż mi pan dzisiaj poradzi?

— To samo, co pierwěj, tylko zamiast pić to trzeba się w tém kąpać.

— Jakże się kąpać, kiedy to pan kazał tylko w jednym garncu wody ugotować; czy podobna, żeby mój brat, który jest głową wyższy odemnie, wykąpał się w jednym garncu!

— Godata, godata i plecieta zawse nie do rzecy; kozołem w garncu wody ugotować i wlać do wanny z wodą pod pochy.

— Już to pan chyba się pomylił, boć przecie dyktował pan, żeby pić po kieliszku trzy razy na dzień.

— To kazałem pić ciemżycę i burak w ocie mocony; wy myślita, że jo nie pamiętam; jo pamiętam, co przed dwudziesty laty mówiłem.

Tłusta jejmość, nie mogąc przeprzeć bezczelności owczarza i zaklinając się, że pan owczarz wprzódy ani słowa o ciemżycy, o buraku i o occie nie mówił, prosiła go, aby jēj raz

jeszcze podyktował, w czém się jēj brat ma kąpać i co pić powinien. Pan owczarz poprawił pomyłkę, ponowił zapewnienie, że waryat będzie zdrów za dni 15 i tłusta jejmość, dawszy panu konsyliarzowi złp. 5, z nadzieją uleczenia brata odjechała do domu.

Tuż za tłustą jejmością pojawiła się matka, ciężką chorobą pięcioletniego synka swojego stroskana, i stojąc z pokorą przed jasnowidzącym na jawie, podaje włosy swojego dziecka i prosi o udzielenie rady. Jasnowidzący, wzięwszy włosy do ręki, z poważną miną wyrokuje: „Sam sobie winien, za nadto pozwalał sobie z kobietami, często tez lubił napić się, to tez skrofuły jęły tocyć ciało, zapchały się kanały a doktorskie leki nojwięcej mu zaskodziły; źle z nim, bardzo źle, ale ja temu zaradzę — pis no.“ — Chciał dyktować receptę, lecz matka zmieszana nieśmiałym odzywa się głosem:

— Ale, panie konsyliarzu, wszakżeż to dziecie pięcioletnie; nie można je obwiniać o występki, które pan wyliczałeś.

Bez tracenia przytomności jasnowidzący nieco z gniewem odzywa się: — „A poco mi pani włosy na opak podałaś? juści tak, co innego; wszycko wiem“ — i zaczął na nowo wyliczać zatłane kanały, zburzone skrofuły i t. d., i podyktował receptę i wziął za nią trzyrublo-

wy papierek i przyobiecał, że dziecko za dni 15 zdrowém będzie. *)

Powyżej opisany, najbezczelniejszy szarlatanizm owczarka, w obec kilkudziesiąt osób jasno udowodniony, nie wstrzymał bynajmniej ani konsyliarza ani łatwowiernych od dalszej komedyi. Przeciwnie co raz więcej tłoczyło się ludzi po najdziwaczniejsze recepty a odbieraniem pięcio-złotówek niezmordowany szarlatan ciągle bąkał jak na mękach o jakimsiś bliżej nie objaśnionym *fluxie*, o jakichsiś zaflegmionych kanałach, o zadawnionych skrofulach, o ukrytych kołtunach, o hemoroidach, o dreszczach, mdłościach, kurczach i o wrzodach na sercu, o motylicach wątroby, o stłuczeniu się za młodu! — co nadzwyczajne w chorych zbudzało podziwienie, że pan konsyliarz istotnie odgadł owo stłuczenie się za młodu, gdyż każdy przypominał sobie, że mniej więcej uległ stłuczeniu się za młodu.

Jasnowidzący spostrzegając marsową postać cisnącego się ku niemu mężczyzny, ledwie okiem rzucił na jego rękę, z uśmiechem pewności wyrzekł:

— Lecyli, lecyli i nie pomogli, bo nie wiedzieli, zkąd choroba. — Cy pan nie służył wojskowo?

*) W kilka miesięcy dowiedziałem się, że to dziecko nazajutrz umarło.

— Służyłem, — odrzekł były kapitan od ułanów.

— No i cos — *nie zleciał* pan z konia na prawy bok?...

Kapitan aż pobladł z zadziwienia i dał *słowo honoru*, że istotnie spadł z konia i — przypomniał sobie, że rzeczywiście na prawy bok upadł...

— A widzi pon! to od tego czasu wątroba choruje i bywa dresc i w krzyżu bolenie i sum w głowie.

Tseba wziąć mrowiska z pod hojaka, co rośnie gałęziami do góry, i z prątkami od złotej wierzbiny gotować sześć godzin pod spontem, w tém się kąpać trzy razy dniem, a co kwadrans pić po kielisku mléka z kozłowym tłuszczem; można także bibułę smarować tłuszczem od kozła i przykładac na prawy bok na noc; tylko tseba, zeby koziół był młody rocnik, bo jak stary, to nic nie pomoze.

— I długo to robić?

— Za 19 dni będziesz pan zdrów jak ryba.

Twarz kapitana zajaśniała radością, uściśnął rękę jasnowidzącego owczarza i wsunął mu złp. 40.

Za prawdę, trudno powtórzyć wszystkie brednie, które owczarek swoim pacjentom objawił, a jeszcze trudniej wyliczyć te wszystkie najdziwaczniejsze i najpotworniejsze mieszaniny, które pod szpontem gotować i po kieliszku pić rozkazał, a owe *kataflazma* (kataplazma), kąpiele

i maści, do których składu i mleko od jałowej krowy i ogony od czarnych kotów i mesiki brzozowe i jałowiec i czarnuszkę i wrzosi i zioła, pod płotem rosnące, i wino węgierskie i żywokost i kije grabowe i barwinek i ług z popiołu od modrzewiów i żywicę świerkową i stręczyny z bobru i korzenie przestęp i pieprz, gotowany w serwatce, i zioła, psiami językami nazwane, — prażyć, tłuc w moździerz, moczyć w okowicie, przesiewać przez sitko, jednoczyć, mięszać i na niekrochmalne *platecki* smarować zalecał.

Słyszałem nie mniej, jak młodej mężatce odgadł jej najskrytsze chęci, jak dzieci zapewniał o robakach, starców o braku sił żywotnych, jak kulawych przekonywał, że będą mieli proste nogi, ociemniałych, że przejrzą, głuchoniemych, że odzyskają słuch i mowę, zgolił każdego chorobę odgadł i każdemu bardzo rychłą pomoc z największą pewnością przyrzekał i zaręczał; — a jeżeli się kto ośmielił twierdzić, że na wymienioną przez niego chorobę nie cierpi, wówczas zuchwałego niedowiarka karciał słowami: „Głupstwo! powiadam, że głupstwo! abo wy wiecie, co wam brakuje; ja psecie widzę, że mata wrzody na wątrobie, że wam mlecz paciezowy psysycha, że wam kołtun lizie do bzucha i t. p.“

Jasnowidzący owczarek, który dawniej trudnił się jedynie zażegnaniem chorób a dzisiaj czyta z ręki cały zwierzęcy układ człowieka, umie nadto i przyszłość wywróżyć; i tak na

uczyniony mu zarzut, że umarli ci ludzie, którym przyrzekł ozdrowienie za dni 15, odpowiedział:

— Jo tego nie mógł powiedzieć, żeby oni psy zyciu zostali, bo w wasem mieście umrze jesce w tym roku tysdzieści osób młodych i seć starych, a i mnie dziki, wściekły zwierz pogryzie!

Znużony całodzienném jasnowidzeniem na jawie, już miał owczarek - lekarz swoją klinikę na dzień następny odłożyć, gdy zbliżył się do niego mężczyzna bardzo wysoki i nad wszelką miarę otyły.

— Panie konsyliarzu! czy nie byłbyś łaskaw przepisać mi jakiego lekarstwa przeciw zbytnej mojej otyłości, która przechodzi niemal w kalectwo.

— Nie wielkie rzeczy; ale muse obaczyć, z czego to pochodzi.

Tłusciuch podał swoją ogromną rękę, jasnowidzący popatrzał się chwilę i zawyrokował:

— To nie żadne żarty! *serdce* może się zalać tłustością i będzie śmierć....

Tłusciuch pobladł i oczy na owczarka wytrzeszczył.

— Tseba robić, co ja kaze: naprzód będzie mi się pan. kąpał regularnie trzy razy na dzień w gorącym wywarze, tak żeby pod pachy było wywaru, i to, jak można, nagoręcy wytrzymać; z rana zaś, na południe i na noc zaraz po kąpieli używać, co ja tu psepise:

Wziąć garść mięty, garść skrobanego rogu od jelenia; trzy garści bżowego kwiatu, garść kukurydzy i gotować to wszystko w sześciu kwartach wody, tylko nie kwarděj, pses godzin dwie pod spontem, a jak się ostudzi, psecedzić i pić po kielisku i używać tego psez 21 dni, potém obłożyć zywot *płozderkami* (plasterkami) z pscelněj maści, a będiesz mi pan dziękował.

Jasnowidzący skończył; na tłusciocha zimny pot wystąpił, zaczął drżyc jakby we febrze, szcześnie zębami, nagle chwycił się za swój brzuch ogromny i szybko wybiegł z pokoju. Rozumiejąc, że zasłabł, ppospieszyłem za nim, a gdym go dogonił, stał już oparty o bryczkę i pot z czoła ocierał.

— Cóż się to panu dobrodziejowi stało?

— A łaskawy panie! ten owcarz to jest niegodziwiec, jakiego jeszcze świat nie widział; pięknego wypłatał - by mi figla! ażeby on hultaj sto lat w piekle gorzał! dobrze, że mnie paraliż ze strachu nie zaraził.

— Nie pojmuję, w czym on panu dobrodziejowi zawinił i nie rozumiem, dla czego się pan dobrodziej tak bardzo przestraszył.

— Ale ja pojmuję i rozumiem. Macieju dalej, dalej, kielznaj konie, — jeżeli Boga kochasz, spiesz się!

Domawiając tych wyrazów, tłuscioch wgramolił się na półtoracznją bryczkę i zaczął na

nowo jasnowidzącemu złożyć: „A niech cię siarczyste pioruny zatrzasną z twojém lekarstwem! A kto wie, może to jakiś czarownik i dopięroby mnie wystrychnął.“

— Najszanowniejszy Dobrodzieju! przez liść powiedz mi, o co ci idzie?...

— A o cóż mi ma chodzić? Właśnie mi o to idzie, żeby nie chodziło.

Krótko panu powiem:

W przeszłym roku moja rodzona siostra, słysząc bardzo wiele od swoich przyjaciółek o cudownym owczarzu, pojechała do niego w Sandomierskie, bo on wtenczas tutaj nie mieszkał; — otóż tak samo jak i jēj przyjaciółkom odgadł co do joty, na co choruje, dla czego choruje, kiedy zachorowała, zgoła wszystko jēj wypowiedział i przepisał jēj różne lekarstwa; — a że będąc już od pięciu lat mężatką, była jeszcze bezdzietną, więc go prosiła, aby jēj także zapisał jakie lekarstwo ku temu, iżby mogła zostać matką. — Cóż pan na to powie? tamto lekarstwo na inne choroby nie pomogło, ale to drugie pomogło najwyraźniej, bo 9 miesięcy po powrocie powiła bliźnięta. Czy pan dasz temu wiarę? Niegodziwiec, chcąc zapewne jako czarownik żart zemną zrobić, podyktował dla mnie słowo w słowo to samo lekarstwo, któremu moja rodzona siostra bliźnięta zawdzięcza.

— Ależ czyż pan możesz na chwilę przy-

puścić, żeby siostra pana skutkiem lekarstwa tego szarlatana matką została?...

— Cóż mnie pan gadasz! przecież ja to dziecko do chrztu podawałem.

— To był przypadek, że po powrocie...

— Dziękuję za taki przypadek! A kto mi może zaręczyć, że przez swoje czary mojej męskiej natury nie zmieni na naturę kobiecą?

— Co się też panu marzy po głowie!

— Marzy czy nie marzy, niech go diabli porwą z jego żartami! — Maciej ruszaj.

Zaciął Maciej trójkę chudych koników, półtoracznia bryka z tłusciocem potoczyła się ku Lublinowi, a ja długo śmiałem się serdecznie, rozważając komiczny przestрах tłusciocha.

Gdym powrócił do zajezdnego domu, już jasnovidzący owczarek znajdował się w alkierzu gospodarskim i, pijąc herbatkę z arakiem, 600 złp., w tym dniu zebrane, z jednej kieszeni do drugiej przeliczał.

Na widok tak znacznej korzyści, odniesionej przez owczarka, serce moje gwałtownym gniewem zawrzało, bo jednocześnie stanął mi na myśli niedostatek wielu lekarzy, którzy całą młodość, lat kilkanaście krwawej poświęcili pracy, którzy tysiące nocy spędzili bezsenne nad księgami spostrzeżeń i doświadczeń, objawionych przez osiwiiałych weteranów wielkiej nauki lekarskiej, którzy z wyniszczeniem rodzicielskiego majątku zwiedzili szpitale główniejszych miast

Europy, którzy na zbadanie i poznanie epidemicznych chorób narażali zdrowie i życie swoje.

Trudno, za prawdę, wyraźniejsze znaleźć świadectwo nierozumnej łatwowierności, jak jest udawanie się po pomoc lekarską do tak nazwanych owczarzy, do bab zażegnujących i do tych wszystkich osób, które bez poprzedniej nauki wyrokują o chorobach ciała naszego. Powie mi kto, że jest jasnovidzenie na jawie, którym Bóg obdarza ludzi, przez siebie wybranych.

Więc podług tego twierdzenia Bóg mądrości, Bóg sprawiedliwy! miałby sobie obrać przeciwną nieudolność owczarka za narzędzie do objawu cudów, do niesienia ulgi cierpiącej ludzkości; pominąłby tych, którzy tę ludzkość umiłowali, którzy się poświęcili dla ludzkości, którzy codziennie zagrożeni są zarażeniem się najzjadliwszymi chorobami, którzy zawód poświęcenia się, zawód lekarski na całe życie obrali! Więc Bóg ma usiłowania na drodze rozumu odpychać a niedołężne głupstwo wspierać i błogosławić?... Gdzież jest w takim twierdzeniu zabobonu i ciemnoty chociażby cień uszanowania religii i pojęcia Boskiej sprawiedliwości?

Więc istotna część Boga, nasz rozum, jest nam nie potrzebny; więc praca w nauce jest zbyteczną; więc doświadczenie z lat tysiąca najcnotliwszych mężów niknie przed jasnovidzeniem owczarka i jemu podobnych szarlatanów.

Istotnie, nie podobna więcej bluźnić jak

utrzymując i wierząc, że ten szarlatan jest jasnowidzącym na jawie. Przypadki, że szarlatani w ogólnych, albo też nawet w szczegółowych opowieściach słabości spotkają się z mylną wyobraźnią chorego, zdarzenia, naprowadzone podstępem i przebiegłością przewrotnego człowieka, ku czemu częstokroć i pieniędzy nie szczędzi, do czego niedocieczonęj zмовы i niecných a nieznanych fortelów używa, — zgola wszystkie najwięcej ludzające pozory o rzeczywistości jasnowidzenia na chwilę nie znajdują wiary w umyśle rozumnego człowieka ani też w sercu, które prawdziwą czcią Boga oddycha.

Ludzie, którzy pomijając uczonych, ciągle swoją umiejętność doskonalcących i cnotliwych lekarzy, biegną do pokatnych oszustów, mianowicie też do tak nazwanych owczarzy, słusznie owcami nazwani być winni.

Głupstwo zbyt często łączy się z uporem; nie wątpię, że moje wyrazy prawdy w zarysie słabiej ramotki nie starczą do nawrócenia zwolenników zabobonu, nie mniej przeto czuję rozkosz, że nową znalazł sposobność objawienia publicznej wzdardy dla służalców ciemnoty, która we wszystkich rodzajach, we wszystkich kierunkach i na każdej drodze obnażaną być winna.

Gdym powyższą ramotkę jednemu z moich znajomych przeczytał, prosił mnie, abym dodał i jego źródłową o jasnowidzącym owczarku wiadomość, — którą też dosłownie jak najchętniej wypisuję wraz z powiastką o Augustynku.

— „Ow sekretarz owczarza, o którym wspomniałeś, że do Garwolina przejeżdżał, jest mi bardzo dobrze znany; i on to a nie kto inny namówił i ośmielił go do jasnowidzenia na jawie. — Rzecz się tak ma:

Gdy sławny Kwiatkowski umarł pod Kampionosem, dla łatwowiernych czuć się dawał brak nowego szarlatana; prowentowy więc pisarz u mojego krewnego w Opoczyńskim, garbate ladaco, wierutny nygus a przytém marmurek, wpadł na concept, iżby sąsiedniego owczarka, trudniącego się fuszerskim naprawianiem i bluznierczem zażegnaniem rąk i nóg, do obszerniejszej szarlataneryi nakłonić i w tym celu począł go przekonywać, że nie powinien się ograniczać na żywokoście i na opatrywaniu rąk i nóg, ale że może korzystać ze śmierci Kwiatkowskiego i swoją praktykę chirurgii leczeniem *wszelkich* chorób powiększyć.

Stanęła zatem pomiędzy oszustami ugoda o wspólny zysk i odtąd owczarek zaczął choroby ludzkie z wody, z włosów a nawet i z odzieży poznawać i ziołami leczyć; garbusek zaś z początku najętą furmanką, następnie własnym już konikiem, a później porządną parokonną

bryczką jeździł po jarmarkach i rozповідаł, że wraca od owcarza, który go z ciężkiej niemocy cudem uleczył. Jak też kilka kobiet usłyszało, że jest cudowny owcarz nowy, — parowym wozem nie dognałbyś, dobrodzieju, biegnącej na cały świat wieści o cudach owcarza. Ze wszystkich stron biegli łatwowierni na wyścigi; a wszekżeż obecnie aż z Litwy, Wołynia i Ukrainy przyjeżdżają chorzy i takich ramotek, jak twoja, możnaby tysiące o jawném oszukaństwie owczarka napisać. Dzisiaj on i jego sekretarz mają najmniej po 20,000 złp. w gotowiznie.

Powiem też panu dobrodziejowi przy tej sposobności, co mi się zdarzyło słyszyć o owym sławnym Augustynku, który przed 20 laty także był cudownym lekarzem.

Mój młodszy brat, urzędując w Kaliszu, dostał zwyczajnej febry, a że zawsze za rychło po wyleczeniu się jadał owoc i pijał mleko, więc mu się owa febra przez trzy lata ustawicznie wracała i na koniec tak się stała uporczywą że tamtejsi doktorzy przepowiadali mu febrę trawiącą.

Coż się dzieje: — chłopiec w mylném przekonaniu, że nie on ale lekarze są winni jego długić a w końcu niebezpiecznej febrze, porzucił doktorów i udał się do Augustynka.

Gdy przyjechał na miejsce, Augustynek był w kościele na mszy; mój brat więc z nudów chodził z kąta w kąt i słysząc, że ktoś na górze

rznie sieczkę, wlaźł po drabinie i zobaczył, jak jeden parobek zwyczajną trawę, z koniczyną i z najpowszechniejszymi ziołami zmieszana, widłami przetrząsał, a drugi tę trzęsionkę rznął na sieczkę i w papierowe kładł torebki.

Spostrzegłszy jego obecność parobcy, zmusili go do natychmiastowego odwrotu. Znudzony długiém jeszcze oczekiwaniem, idzie na wieś, gdzie mnóstwo ludzi czekało na Augustynka, i tu uderzył go łajdacki wzrok jakiegoś obszarpańca, który opowiadał, że go Augustynek z wielkiej niemocy uleczył, na co przysłuchująca się służąca dziewczyna odrzekła:

— Ciekawam, czy też mojej pani pomoże, bo już trzeci rok minął, jak do doktorów jeździmy, a co się polepszy, to znów gorzej.

— I na cóż to choruje pani starościna?... od niechcenia zapytał obszarpaniec.

— Zwyczajnie miała kołtuna a potem zaziębiła się po połogu i, jak mówili doktorzy, że pokarm wszedł jój w obie ręce; potem zrobił jój się wielki ból na prawym boku, a teraz ma takie *gule* na nogach, że wcale chodzić nie może.

Zaledwie dziewczyna opowiadanie skończyła, ukazał się Augustynek, z kościoła wracający, a za nim kilkudziesiąt chorych. Gdy przyszedł do izby, ofuknął się na panie i na panów, mówiąc, aby się nie cisnęli, bo on musi pierwój biednym chłopom poradzić, którzy nie mają o czém czekać; — jakoż zaczął biedniejszym

lekarstwa rozdawać. Dopiero nad wieczorem przyszła kolój na szlachtę; — przez wzgląd na znaczną słabość pani starościny pozwolono jój najpierw przystąpić do Augustynka. I jakżeż wielkiem było zadziwienie mojego brata, gdy usłyszał z ust jego *słowo w słowo to samo*, co dziewczyna służąca mówiła do obszarpańca; do reszty zaś stracił wiarę, gdy Augustynek dał i dla niego tytkę z takimi samemi ziołami do picia, jakie poprzednio dał starościnie do kąpieli.

Tacy to są ci {wszyscy cudowni owczarze.“

O MEDYCYNIE I O LEKARZACH.

O MEDYCYNIE I O LEKARZACH.

Przedstawwszy w poprzednim artykule dosłownie prawdziwy obraz jednego z tych szarlatanów a raczej bezczelnych oszustów, którzy bez żadnej nauki leczć ośmielają się, i przekonawszy się, jak wielu u nas ludziom zbywa nawet na ogólném wyobrażeniu o medycynie i o prawdziwych lekarzach, za rzecz właściwą uważam ciemnowidzących chociaż w zarysie objaśnić o *stanowisku medycyny*; o *przedmiotach, składających medycynę*; o *historyi medycyny*; o *zakresie i celu ukształcenia lekarza*; o *doświadczeniu w medycynie*; *nakoniec o stósunku lekarza do społeczności.*

Stanowisko medycyny.

Zbiór wiadomości, służących do poznawania i leczenia chorób, zowiemy sztuką lekarską czyli medycyną. Naturalną więc rzeczą, że, kto się zajmuje chorobami i przyprowadzeniem do zdro-

wia, przedewszystkiém zdrowy stan człowieka dokładnie znać winien. Sam zaś człowiek, ów małeńki światek (*mikrokosmos*), w swoim wewnętrznym mechanizmie zajmuje niby w miniatrze wszystko to, co się w naturze na potężną skalę odbywa; z naturą zaś, wśród której żyje, człowiek spojony jest niérozerwanym węzłem za pomocą ziemi, po której stąpa i która go żywi, powietrza, którym oddycha, światła i ciepła i elektryczności, bez których nie ma życia; — tak więc poznanie człowieka jest tylko szczytem i koroną nauki natury a medycyna jedną jej częścią.

Przeszło już dwa tysiące lat jak medycyna zajmuje umysł ludzi; zakres jej tak dalece się rozszerzył, że z wolna musiała się rozpadać na mnóstwo pojedynczych odnóg, aby odrębne ich badanie ułatwiało poznanie całości.

Przebiegniemy tu cały łańcuch wiadomości, składających medycynę, a którego ogniwa, ściśle ze sobą powiązane, nie raz z trudnością odgraniczyć się dają.

Przedmioty składające medycynę.

1. *Filozoficzna* czyli *ogólna nauka natury*, czasami zwana *metafizyką* lub *filozofią natury*; treścią jej *idea życia*.

Bóg i natura, działanie i byt, czas i przestrzeń, siła i materya, idą tu pod rozważę-

Na rozważaniu tych zasadniczych pojęć zależy kierunek, w jakim później uważane będą pojędyńcze zjawiska — objawy życia; te zaś dadzą się wszystkie podzielić na: mechaniczne, chemiczne i dynamiczne.

Pierwsze dwie odnoszą się do przestrzeni (a mianowicie mechaniczne do zewnętrznej, chemiczne do wewnętrznej), ostatnie zaś do czasu. Ztąd wynika:

2. *Fizyka*, mająca za przedmiot poznawanie własności ciał zewnętrznych: mechanicznych (wielkości, kształtu, stałości, podzielności); dynamicznych: stanu skupienia, ciężkości, magnetyzmu, elektryczności, ciepła, światła, głosu.

3. *Chemia*, badająca mieszaniny ciał i wypadki ztąd powstałe. Tę dzielią jeszcze na nieorganiczną i organiczną a tę ostatnią znowu na *Phytochemię* i *Zoochemię* czyli chemię, śledzącą w składzie roślin i ciałach zwierzęcych. Ostatnie te nauki, prawie czysto doświadczalne, badają życie w mniejszym, bliższym zakresie; w rozleglejszej przestrzeni poznaniem jego trudni się:

4. *Kosmologia* (astronomia) i *Kosmogenia*, niegdyś w bezpośredniem zastosowaniu do sztuki lekarskiej będące, — dziś więcej, niż może należy, wzgardzone.

5. *Geologia* i *Geogenia*, bliżej nas dotyczące. Do tych dwóch ostatnich gałęzi należą: *Atmospherologia*, *Hygrologia* i *Mineralogia*; —

pod temi bowiem trzema stanami, lotnym, ciekłym i stałym uważamy ziemię naszą. Na jej powierzchni dopiero ukazują się nieprzeliczona liczba istot, objawiających życie właściwe. Te dzielą się na dwa działy roślin i zwierząt.

6. *Phytologia* (Botanika) poznaje rośliny.

7. *Zoologia* bada życie bardziej rozwinięte w zwierzętach.

W końcu dopiero poznanie samego człowieka, jego właściwości i różnicy od zwierząt jest treścią:

8. *Antropologii*; osobną jest jeszcze:

9. Historya naturalna człowieka, jego pokoleń (ras) i życia na ziemi.

10. *Psychologia* — duchowe życie, życie duszy człowieka rozbiera.

11. *Anatomia* ma za przedmiot wewnątrz skład i budowę człowieka i dzieli się na:

- a) *Osteologia*, naukę o kościach;
- b). *Syndesmologia*, o więzadłach;
- c). *Myologia*, o mięśniach;
- d). *Splanchnologia*, o wnętrznościach;
- e). *Angiologia*, o naczyniach;
- f). *Neurologia*, o nerwach;
- g). *Adenologia*, o gruczołach.

12 *Fizjologia* wszystkie zjawiska, połączone razem z właściwymi sobie dynamicznymi, uważa i jako objawienia życia tłumaczy.

Tutaj poczyną się w ściślejszym znaczeniu nauka właściwej medycyny; ta zaś opiera się

na troistym stanie, w jakim się życie objawia: zdrowia, choroby, leczenia.

Co do pierwszego występuje:

13. *Hygiena* i

14. *Dyetetyka*, stósownie do warunków i oznak zdrowia. Pierwsza jest czystsza nauką, druga ma zarazem cel sztuki do osiągnięcia. Odmiany tych szczególne są jeszcze: Makrobiotyka, Polibiotyka, Kubiotyka, Prophylaktika i t. d.

15. *Pathologia*, nauka o chorobach, ich istocie, powstawaniu i zjawiskach im towarzyszących.

16. *Nosologia* usiłuje choroby w pewien system ułożyć, aby ich podział i poznanie ułatwić.

17. *Anatomia pathologica* opowiada zmiany w ciele ludzkim, w czasie chorób zaszłe.

18. *Anamnestyka*, *Semiotyka*, *Diagnostyka*, *Prognostyka* uczą już to wnosić z przyczyn poprzednich o stanie teraźniejszym, już też z pewnych oznak poznawać choroby lub rozróżniać je od innych chorób i wnosić o mających nastąpić zjawiskach.

19. *Therapia*, nauka leczenia chorób, dzieli się na ogólną i

20. *Therapią szczególną*, opisującą sposób leczenia pojedynczo każdej choroby.

21. *Chirurgia*, (żadnego spółnictwa z chirurgią filozofii nie mająca).

22. *Sztuka położnicza.*

23. *Materya medyczna*, opisująca działanie i skutki lekarstw. Z tą łączy się:

24. *Pharmacya*, zajmująca się przygotowaniem lekarstw.

25. *Nauka formul*, przepisywanie lekarstw w receptach.

26. *Klinika* czyli praktyka lekarska.

27. *Policya medyczna.*

28. *Medycyna sądowa.*

29. W końcu zaś *historia medycyny* i literatury medycznój.

Oto jest mniej więcej szereg nauk, jaki w kursach uniwersyteckich w przeciągu najmniej lat 4 do 5 przy najwyższej pilności poznaje lekarz.

RYS HISTORYCZNY MEDYCYNY.

Historia téj nauki, która ze zdrowiem i chorobą człowieka w tak blizkim zostaje związku, musi każdego ukształconego mocno zajmować; historia ta okazuje nam, na jakim stopniu ukształcenia medycyna znajdowała się w każdym wieku świata i u każdego ludu; jak z rozwijaniem się ogólnych pojęć rozumu rozwijał się zakres wiadomości medycznych; jak udoskonalenie innych nauk i tu korzystnie wpływało, jak w końcu zawsze swoboda umysłu i dążenie do prawdy zbawiennie posuwały a przeciwnie jednostron-

ność i uprzedzenia od wieków postęp jój tamowały. Zbyteczną byłoby rzeczą silenie się nad oznaczeniem czasu, w którym powstała nauka lekarska, a może niepodobném wynalezienie tego czasu.

Zapewne każdy lud był jój początków wynalazcą, szukając na cierpienia instynktowej pomocy, a nieraz przypadkiem wynajdując lekarstwa. Początkowe jednakże dzieje przekazują nam równie jak w innych sztukach baśnie i myty, które poezya ubarwiła. U Egipcyan bożek Hermes miał być wynalazcą medycyny i zarazem autorem pierwszych ksiąg o sztuce lekarskiej. U Greków podobnież Eskulap (1263 przed Chr., jeżeli się w kalendarzu nie pomyłono) nauczał boskiej sztuki; później kapłani byli pierwotnymi lekarzami. Chorych zgromadzano do świątyń, tam ich leczono, a opis choroby i lekarstwa, które im zdrowie przywróciły, zapisane na tablicach zawieszano na kolumnach świątyń jako *wota*; to są pierwsze ślady stałych obserwacji i doświadczeń. Z téj kapłańsko-lekarskiej szkoły, trwającej może kilka wieków, wyszedł mąż, obdarzony nadzwyczajnym darem spostrzegania i trafnego opisywania spostrzeżeń; był to Hippokrates, właściwy założyciel Medycyny jako nauki — (456 przed Chr.). Pod jego jednakże imieniem wielu późniejszych lekarzy ogłosiło swe spostrzeżenia. Najbliżsi już następcy Hippokratesa oddalili się od jego metody prostego uważania

natury i podług panujących ówczesnie systemów filozoficznych (np. Platona, Epikura) starali się Medycynę w jeden ująć system; — to dało początek dogmatycznej sztuce lekarskiej.

W późniejszych czasach Alexandrya była jedyną szkołą lekarzy. Tu powstał Serapion z Alexandryi (279 przed Chr.), założyciel sekty Empiryków w medycynie. Nowemi usiłowaniami nadania sztuce lekarskiej naukowego kierunku odznaczył się Galen (160 po nar. Chr.); objaśniał on pisma Hippokratesa. W czasie wędrówki narodów i średnio-wiecznych zaburzeń w Europie mało dla medycyny zrobiono. Spalili alexandryjskie biblioteki a Mahometanie rozszerzyli się nie tylko w Azji lecz i w części Europy.

Arabowie wprawdzie przechowali zdobycze, na polu wiedzy przez Greków poczynione, sami jednak mało co medycynę posunęli.

W VIII dopiero wieku po Chr. neapolitańscy *zakonnicy w Salerno* założyli szkołę, ważny później wpływ wywierającą. W XIII wieku cesarz Fryderyk II nadał tej szkole znakomite przywileje i podniósł ją do godności akademii. Wynalazek druku dał nowy popęd naukom a zwolna medycyna przestawała być wyłączną własnością księży, czego im ponawiane nie raz zakazy papieży wzbraniać poczynęły. Dotąd prawie wszyscy lekarze ślepo się pilnowali sy-

stemu Galena; mała ich bardzo liczba i to na próżno usiłowała ożywić dążenia Hippokratesa.

Paracelsus (1525 r.) odrzucił pisma nie tylko Galena lecz i wszystkich swoich poprzedników, natomiast zaś utworzył z dziwnym zaufaniem we własne zdanie nową teorię, opartą częścią na chemicznych zasadach, częścią na teologicznych, astrologicznych i t. p. marzeniach. Van Helmont za przyczynę życia uważał osobnego ducha życia, którego nazwał *Archeus* — i z pomocą chemicznych spostrzeżeń nowy system zbudował.

Odkrycie obiegu krwi, przez Harvey'a (r. 1619) dokonane, zmieniło wiele wyobrażeń — lecz i tu przesadzono, a Harvey chciał nauce lekarskiej matematyczną nieomyślność wyjednać, tworząc tak zwany *jatromatematyczny* system. *Sydenham* (1665 r.) wskrzesił dawną szkołę Empiryków i wpływu atmosfery na zdrowie ludzkie pilnie badał. *Stahl* (1707 r.) odnowił system *Helmonta*, dając rolę *Archeusa* duszy człowieka. Im bardziej rozpowszechniła się sztuka lekarska, tém więcej znakomitych ze wszech miar ludzi poświęcało się medycynie, a ku końcowi XVIII wieku wyobrażenia i sposoby zapatrywania się zmieniały się częściej i szybciej niż kiedykolwiek. Najważniejszymi jednakże były systema Browna i Broussais'go.

W tym też czasie wzięła początek najnowsza filozofia naturalna a światło jej rzuciło

i na medycynę wszystko rozjaśniające promienie. Wielu lekarzy zastosowało zasady téj filozofii bardzo szczęśliwie do niektórych gałęzi medycyny; szczególnie w fizyologii, w nauce samego życia, w nauce o organizmie i jego funkcyjach powstały ztąd zadziwiające i niespodziane widoki. Nawetna Pathogenia i Terapią filozofia ta wywarła w tym krótkim czasie tak zbawienny wpływ, iż zdaje się, że medycyna jako nauka niedługo dostąpi tego stopnia wykształcenia, jakim się cieszą inne nauki i do jakiego tylko, zważając na odwieczne nieprzebyte granice wiedzy ludzkiej, jest zdolną.

ZAKRES I CEL UKSZTAŁCENIA LEKARZA.

Przystępując do poznawania tak rozległego drzewa wiadomości, potrzeba już dosyć być ukształconym a umysł, rozwinięty w pełnej sile i działalności, powinien być zdolnym do trafnego przyjmowania i samodzielnego rozwijania wiadomości, inaczej cała nauka na nic się nie przyda. Oprócz języka łacińskiego, jak w Polsce, każdy lekarz, chcący w równi postępować z nauką, powinien znać koniecznie przynajmniej języki francuzki i niemiecki. Samych nazwisk, do których przywiązane są mniej więcej rozległe

wyobrażenia, w wyliczonych wyżej naukach jest kilkadziesiąt tysięcy, a wszystko tu łączy się i powiązane jest ściśle nierozzerwanymi ogniwami w jeden ogromny obraz, który cały bez przerwy trzeba mieć przytomny w myśli i pamięci, aby od niej nie doznawać zawodu w czasie potrzeby. Nie małe biblioteki zapełniono już dziełami, traktującami o medycynie, a paraset lat życia nie wystarczyłyby jednemu człowiekowi do przeczytania wszystkiego. Ogrom ten nie zniechęcał głów porządniejszych, lecz kierował je do poświęcania się jednej szczególniej gałęzi; i tak: choroby oczu, choroby dzieci, syfilis, pojedyncze części chirurgii, sztuka położnicza, fizyologia, terapia, farmacya, najmniejsze nawet odrębne części medycyny miały swoich specjalnych badaczy, którzy raz obroną drogą całe życie zapełnili z chwałą i z prawdziwym pożytkiem dla ludzkości. Zbytecznym więc byłoby wystawiać, jakich zdolności, jakiego poświęcenia się a nawet odwagi potrzeba, chcąc się dziś rzucić w ten mozolny labirynt nauki, aby w końcu nie raz nie oceniony, nie poznany zawód swój kończyć jedyną we własnym sumieniu nagrodą, — pracowałem dla dobra ludzkości!

Na samych tu bowiem dobrych chęciach, żelaznej cierpliwości i olbrzymiej nawet pracy nie dosyć. Medycyna oprócz *nauki* jest jeszcze *sztuką*. Obie tu, *nauka* i *sztuka*, stoją do siebie w tym stósunku, w jakim pospolicie i zewnątrz

medycyny w wyższém znaczeniu się uważają. Sztuka oznacza przejście całej sumy wiedzy w działanie (czyn). Nauka tworzy i rozkłada *ideę*, sztuka stara się ją w utworze urzeczywistnić. Sztuka nawet powinna tam, gdzie nauka nie wystarcza, zastąpić ją, powinna na szczególny wypadek przepisać prawidła tam, gdzie nauka tylko ogólny wytyka kierunek postępowania. To dzieje się szczególnie w tych przypadkach, w których rozum nie wnioskuje z pojedynczych i pewnych zasad, lecz z mnóstwa złożonych i najczęściej zmiennych, gdzie zamiast pewności często na prawdopodobieństwie przestawać zmuszony. Dla tego mistrzem sztuki jest jedynie geniusz jako najwyższy stopień samodzielnej twórczości umysłu, — czyli harmonijnej zgody rozumu i czynnej wyobraźni, twórczyczki nowych idei. Przedmiotem sztuki lekarskiej jest człowiek, żyjąca, duchowa istota, której stan wewnętrzny nieustannie się zmienia już to od zewnętrznych już też od wewnętrznych, dowolnych lub mimowolnych wpływów. Nieukończone odmiany przedstawia indywidualność człowieka w samym stanie zdrowia, — liczniejsze jeszcze w zboczeniach od zdrowia, na który wpływ wywierają: wiek, płeć, okoliczności, otaczające chorego, usposobienie jego umysłu, i t. d. Tutaj nauka przedstawia rozumowi nie wiele pewnych i nieomylnych zasad, tém więcéj jednak za to warunkowych, wachających się, złożonych ska-

zówek i naprowadzeń; — wtedy to twórcza sztuka z danych wiadomych dochodzi tego, co jest ukryte, — prawdopodobieństwa zamienia w pewniki i skuteczne środki wynajduje. Sztuka lekarska więcéj wymaga geniuszu jak każda inna sztuka, nieraz więcéj nawet, ponieważ tu już pole nauki jest tak rozległe a zakres sztuki niezmierny. Rozum i wyobraźnia muszą tu łączyć się w zupełnej harmonii. Co do pierwszego, lekarz powinien być filozofem, — co do drugiego, prawie poetą. Podobnie jak filozof nie może poprzestawać na widzeniu rzeczy tak, jak mu się przedstawiają, ale oraz badać powinen przyczyny, dla których są takimi. Twórcza wyobraźnia występuje tam, gdzie nauka nie wystarcza; wtedy bowiem lekarz sam sobie tworzy obraz choroby, — nowe połączenia idei, szybki plan leczenia i to nie podług kompendyi naukowych, lecz osobno na ten jeden indywidualny wypadek.

Ukształcenie lekarza spoczywa równie na nabyciu całej wiedzy jak na wprawie sztuki. Żadna część naukowa ani nawet część nauk pomocniczych wyłączoną być nie może, jeżeli w ukształceniu lekarza nie ma się znajdować przerwa, któraby się niespodziewanie i niepowetowanie ciągle uczuć dawała. Co się tyczy wykształcenia sztuki, tu bez talentu nie zrobić nie można; — kto talentu pozbawiony, przez

najmózolniejszą nawet pracę nigdy dobrym lekarzem nie będzie. Geniuszu ani talentu nikt nie nabędzie, — potęgę tylko jego wzmocnić zdoła.

DOŚWIADCZENIE W MEDYCYNIE.

Dziwna rzecz, jak dotąd jeszcze fałszywe kursują wyobrażenia o doświadczeniu w medycynie, jakby nie było rzeczą jawną, że bez talentu i nauki stuletnie doświadczenie omackiem tylko na los szczęścia postępuje. Im kto więcej widział chorób, tego doświadczeńszym zowią, nie bacząc, że oprócz prawdziwego jest fałszywe doświadczenie. Nie dosyć jest widzieć, trzeba umieć patrzeć, a nawet zręczne spostrzeganie nie stanowi jeszcze zupełnego doświadczenia. Kto nie wie, na co szczególnie i w jaki sposób ma uważać, a nad tém, co spostrzegł, myśleć nie umie, ten może cały świat objechać a nie znać żadnego kraju. Pospolicie jednak tłum nazywa doświadczoneym lekarzem nie raz takiego, który nie godzien nazwiska lekarza, który, nieprzysposobiony do praktyki, pozbawiony wszelkich teoretycznych wiadomości, tylko na chybi-trafi leczy choroby stósownie do ich nazwisk, przepisuje środki zaradcze, przestając na pojedynczych symptomatach, nie wiele się troszcząc o indywidualizm choroby i chorego. Ci niedo-
 łążni Empirycy odrzucają wszelką, jak nazywają,

wyrafinowaną i zbyteczną naukę; nie troszcząc się o to, co inni przed nimi zrobili, wierzą jedynie w nieomyślność własnego doświadczenia; prawy medyk zaś szanuje przedewszystkiém naukę, ponieważ przekonany jest, że nie podobna, aby jeden człowiek tyle widział, co lekarze wszystkich ludów i wieków złożyli do spólnej wiedzy. Empirycy nie badają bardzo gatunku i rodzaju choroby, dość im na jej nazwisku, a wnet przepisują środki i dają choremu lekarstwa z rozkazem zabicia choroby. W ogóle zdaje im się, że poznali chorobę, skoro zobaczyli chorego.

STÓŚUNEK LEKARZA DO SPOŁECZNOŚCI.

Z tych, któreśmy tu nadmienili, celów i działalności lekarza wynikają jego obowiązki. Człowiek każdy powierza mu to, co ma najdroższego na ziemi: zdrowie i życie. Świętość tego powo-
 łania od wieków już jest uznana. Najogólniejsze określenie obowiązków lekarza jest: „Czynić wszystko to, o czém przekonany, że do utrzymania zdrowia i życia powierzonego chorego pomocném być może, — nie przedsiębrać nic takiego, coby mu szkodliwém być mogło.“ Ztąd wynikają szczegółowe obowiązki medyka. Powinien starać się ciągle postępować z postępującą nauką, powinien ciągle uczyć się, badać; — wiedzieć o wszystkich usiłowaniach i odkryciach

innych lekarzy. Praktyka jego sztuki powinna być własnością wszystkich, — nic nie usprawiedliwia go od niedania komu pomocy. Oprócz tego powinien zupełnie zasługiwać na zaufanie chorego swoją godnością moralną i zamilczeniem wszystkiego, coby chorego w najmniejszej rzeczy narazić mogło na nieprzyjemności.

W obec lekarza nikną wszystkie stanów różnice; — książę czy poddany, bogacz czy żebrak równi są w oczach lekarza, albowiem widzi tylko człowieka i chorobę. Medyk, pozwalający sobie imponować zewnątrzniemi wyższościami i stósunkami chorego, nie zna własnej godności. Lecz téż i wdzięczność chorego większą jak w innych sztukach być powinna i jest jedyną prawie w swym rodzaju względem lekarza. Nie mówimy tu o materyalnym wynagrodzeniu, które się da stósować do stale ustanowionej tasy, lecz o wdzięczności moralnej, rzeczywistej, taxować się nie dającej. Tymczasem tłum lekarzy uważa na równi z handlarzami recept i leków; partacze, olejkarze i owczarze zabobonnemi środkami leczący, i oszuści i szarlatani jedno uniwersalne lekarstwo podający, cyrulicy podług starych gdzieś znalezionych recept praktykujący, — wszyscy ci na równi są uważani, — a dla lekarza nikczemni głupcy o tyle tylko są wdzięcznymi, o ile go lichą zbędą zapłatą; przytém i nie raz po większej części da się zastósować stare przysłowie:

Accipe, cum dolore est, nam postquam poena recessit, Audebit sanus dicere, multa dedi!

Mędrkowie, nieuki i dowcipnisie oskarżają sztukę lekarską o *niepewność*, ponieważ nie znają przyrodzonych jej granic ani jej zakresu — a łatwiej jest rozprawiać i szydzić z jakiej sztuki jak ją poznać i uprawiać. Zapewne że ten, który nie ma najmniejszego pojęcia ani o siłach natury ani o rodzaju i zakresie jej działania w chorobach, który nie rozumie nawet rzeczywiście, co to jest lekarstwo i w jaki sposób działa, — ten zapewne nie potrafi poznać, czy natura sama czy téż lekarz chorego uleczył, oraz jaki w ogóle zachodzi stósunek środków lekarskich do choroby. Nie jeden z medyków wzniesie się w opinii publicznej samemi przyjaznemi okolicznościami, — a skoro raz mu przyznają sławę, we wszystkich przypadkach czeka go względny sąd, przychylném kierowany uprzedzeniem.

Niechże znów innemu umrze jego chory, zwalają bez żadnej zasady winę na lekarza, ponieważ nie łatwo ocenić tę rozmaitość przyczyn, dla których nie raz i biegłemu lekarzowi nie uda się uratować chorego od śmierci. Tak jak przeciwnie partaczowi, szarlatanowi przypisują zbyt często uleczenie chorego z téj jedynie przyczyny, że to był ostatni medyk, który się jego leczeniem zatrudnił.

NAJDROŻSZA NA CAŁĄ LITWĘ
ŚMIETANKA.

NAJDROŻSZA NA CAŁĄ LITWĘ ŚMIETANKA.

Jeden z naszych umniczych i zaszczytnie znanych literatów przed kilkunastu laty naukową obarczony pracą obojętnym był na szczegóły gospodarze, a jego służący wedle swój woli potrzeb dó życia nader skąpą i nierzetelną dostarczał mu miarą, pomimo że na miesięcznie podawanym rachunku tysiące umieszczał, to jest: kradł pana na urząd.

— Ignasiu! żebyś téż był łaskaw lepszą do kawy dawać mi śmietankę!

— A zkadże jój wezmę? Przecież jasnie wielmożny pan wie, że w mieście mieszkamy; — gdybyśmy to własną mieć mogli krowę.

— Ileż krowa kosztuje?

— Za dojną potrzeba najmniej 300 złp. zapłacić.

— Oto masz 300 złp., kupże więc krowę.

Ignas wziął 300 złp. i nazajutrz nie krowę, nie, jak zazwyczaj, mleka, ale kupił śmietanki za groszy polskich 3.

— A to wcale co innego! — Więc już mamy krowę?

— Kupiłem, jaśnie wielmożny panie, piękną, graniastą krówkę; — a jakie ma wymiona, a jakie rogi! Ludzie się dziwią, żem za 300 złp. tak śliczne dostał bydłatko!

— Gdzieżes ją umieścił?

— Właśnie chciałem jaśnie wielmożnemu panu powiedzieć, że potrzeba nająć stajenkę, ale żądają 60 złp. rocznej z góry zapłaty.

— Masz 60 złp., byle tylko miała wygodę.

— Proszę także pana o 20 złp. na furę siana, o złp. 6 na korczyk owsa i o złp. 9 na sieczkę i słomę do ściółki.

Szacowny literat, którego lubił kawę z dobrą śmietanką, żądane 35 złp. w najlepszej wierze oddał hultajowi na żywienie krówki.

Po upływie dni kilku Ignas żąda od swojego pana 6 złp. na 2 korce ziemniaków, złp. 8 na buraki, brukiew i rzepę.

— A do czegoż to, kochanku?

— Oto widzi jaśnie wielmożny pan, należy rozmaite warzywa gotować i sieczkę krowie polewać a wówczas 6 razy tyle da mleka.

— Dobrze, dobrze, Ignasiu! Wprawdzie ja tylko małecki garnuszek potrzebuję...

— Tak; ale widzi jaśnie wielmożny pan, że, kiedy krowa jada buraczki i rzepę, śmietanka o wiele bywa lepszą*).

*) Rzecz się ma przeciwnie; podobna karm dla krów zwiększa bardzo znacznie ilość mleka ale nie dobroć śmietanki.

— Zgoda! zgoda, mój Ignasiu! kup buraczków i rzepki i brukwi i czego tylko potrzeba.

I znów hultaj 14 złp. zadławił.

Niezdługo zażądał złp. 10 na pszenne otręby i na sól. Później upomniał się o zapłatę dla kobiety, krowę dojącej, dla parobka, którego czyni oprzął; wyłudził następnie na grzebielec, na szczotki, na drabinę, na nowy żłób, na łańcuszek, na kubełek do wody i na rozmaite nieprzeliczone sprzęty stajenne. Jednym słowem że nie było dnia, żeby krowa czegoś nie potrzebowała. Bezczelność Ignasia najwyższego doszła stopnia, gdy twierdził, że należy dla krowy na zimę kupić węgierski koc do okrywania. Literat dał i na koc złp. 30, nie licząc, że w niespełna miesiącu owa śmietanka już przeszło 500 złp. kosztuje.

Zdarzyło się, że ktoś z gości śmietankę pochwalił i zarazem krówkę zobaczyć pragnął. — Ignas zdrętwiał, ale się na prędce ocknął — i pobiegł po krówkę. Ciekawi stali u okna pół godziny; — Ignas powraca z doniesieniem, że parobek, krówkę oprzątający, klucz od stajenki zagubił. Śmiałem kłamstwem hultaj z niebezpieczeństwa na on raz wypłynął; — ale przestraszony tym wypadkiem, zwłaszcza że pan jego już poprzednio chęć poznania prześlizgniętej krówki był zdradzał, postanowił złemu stanowczo zaradzić. Jakoż nazajutrz doniósł,

że krowa zachorowała. Przez 3 dni płacił oszukiwany literat dla weterynarza po złp. 5, do apteki na lekarstwa wydał także kilkanaście złp. a przecież nielitośna śmierć ubłagać się nie dała i krówka w skutek zapalenia śledziony z pośród żyjących bydlatek wymazaną została.

Każden z prostodusznych myśli, że się niecne hultaja obławę skończyły. — Otóż nie! — Ignas przy doniesieniu o tym, jak okazywał, najboleśniejszym dla niego wypadku, wśród rzeczowego płaczu zażądał złp. 6 na najęcie woza do wywiezienia za miasto zaraźliwych zwłok nieboszczki; dalej złp. 4 dla mistrza za zdjęcie skóry, a dopiero w końcu złp. 50 za przebudowanie stajenki, w której zaraźliwa choroba istniała.

— Pokaż mi przynajmniej skórę, — rzekł osmucony literat, — wspomniałeś, że tak przesłiczne miała odmiany; radbym ją malarzowi opisać, iżby mi w pięknym obrazie zrobił pamiątkę, żem był właścicielem krówki, — rozumiesz mnie, Ignasiu!

— Rozumiem, jaśnie panie! ale ja tę skórę powiesiłem na płocie, żeby przeschła, i proszę jaśnie wielmożnego pana, już wyraźnie jakieś z tą krową nieszczęście, bo całą skórę psy pana marszałka w drobne kawałeczki rozerwały i pożarły a i rogi skradziono; — lecz jeżeli jw. pan pozwoli, opowiem malarzowi, jak ta krowa wyglądała.

W kilka tygodni potem graniasta krówka, olejną farbą na płótnie odmalowana, przypominała łatwowiernemu literatowi, że przez niespełna miesiąc kawę z dobrą pijał śmietanką.

Dopiero w rok później szanowny literat doszedł przypadkiem, że ona krówka nigdy na świecie nie żyła. „Ot rozumie pan, tak nas uczonych głupcy oszukują.“ Te wyrazy i dzisiaj z ust uśmiechającego się literata usłyszyć można. Ignas się wówczas wstydzi, ale jeszcze nie postradał służby u prawdziwie chrześcijańskiej dobroci pana.

Z ŻYCIA MOJEGO DZIADKA.

ZDARZENIE W ¼ CZĘŚCIACH PRAWDZIWE.

Z ZYCIA MOJEGO DZIADKA.

ZDARZENIE W $\frac{3}{4}$ CZĘŚCIACH PRAWDZIWE.

Ś. p. dziadek mój był to człowiek pocziwy, pobożny, rzetelny w słowie, gospodarny, czuły na nieszczęście i nędzę bliźniego, szczerze gościnny, i na innych cnotach nie zbywało mu bynajmniej. W palestrze poznańskiej przeciw-
czył się w prawnictwie, na sejmikach nabył wymowy, w potrzebach zaś krajowych — anno millesimo — już nie pomnę — dostał po za lewe ucho tak serdeczną kryzę, że tylko skutecznej maści węgierskiej winien był ocalenie honorowego członka — ucha; — lecz nie ma tego złego, coby na dobre nie wyszło. Kiedy się zaczęły upowszechniać termometry i barometry i panowie nasi, każdój nowości chciwi, kupowali takowe, rzekł pewnego razu dziadzio napierającym się z towarem Niemcowi: „O daj mi tam, mucu, pokój z twojami szkiełkami; już ja pono

lepiej wiem od ciebie o zmianie powietrza.“ — Bo też istotnie zwykł dziadek mawiać: „Tatar mnie swędzi, Tatar mnie łupie, Tatar mi dokucza“ — pomacał się za lewe ucho i był, jakby zapisał, deszcz, odwilż, mróz, lub jak z kolei wypadło. — Wzrost dziadunia nie odznaczał się szczególniejszą wyniosłością, przeciwnie do rzędu krępych, co się nazywa, do barczyстых ludzi należał; nosił na święto kontusz granatowy i ceglastego koloru żupan, na powszedni dzień papuzią kapotę, zażywał tabakę i miał przysłowie: „*Owo tedy barania głowa z pieprzem i z imbierem, mości dobrodzieju.*“ Nie wiem, dla czego z pieprzem i z imbierem, bo uważałem, że ją najczęściej z chrzanem jadał. Ale pominąwszy i inne drobnostki, powiem raczej, że, gdy mnie ojciec mój do niego zaszłał, miał już szanowny dziadek 80 lat z górą.

Skloniwszy mu się przyzwoicie, ucałowałem rękę i list oddałem. Bez okularów pismo odczytał, otarł zwilżone oczy, wejrzał na mnie łaskawie a następnie drzącymi usty czoła się mojego dotknął.

— Pan Franciszek przysyła mi waścia do pomocy w moich kłopotach.

— Szczęśliwym się nazwę..... jeżeli będę mógł dziadzi dobrodziejowi być użytecznym.....

— Cóż to „nazwę?“ A przecież waści już się nazywasz, boć ślubnego małżeństwa synem jesteś a prawnym wnukiem moim! Owo tedy

barania głowa z pieprzem i z imbierem, mości dobrodzieju!

Tak mnie tym argumentem i swoim przysłowiem zmieszał, że ułożonej przez drogę przemowy zapomniałem i stanąłem istotnie jak gdyby z baranią głową, bo i słowa odpowiedzieć nie zdolny.

— Dobry znak, że waść śmiałkiem na gębę nie jesteś. Marynusia, matka twoja, zdrowa?

— Właśnie mam polecenie ucałować.....

— Dobrze, dobrze, mój wnuku; pisze mi pan Franciszek, że waść napróżno kaszy nie jadał i że *owo tedy barania głowa z pieprzem i z imbierem* Łacinnik z aspana; — zobaczymy, mości dobrodzieju.

Nazajutrz już od 5 rano odpisywałem granicznik zeznania świadków i układ z XX. Cystersami z r. 1684 o sporne pastwisko ponad rzeką (*fluvium*) Nosek, poczynawszy od dwóch kamieni, wyżej gruszki położonych, idąc na lewo przez Jędrzejów połanek tuż ponad płotem Tadeusza aż do studni Jana Kaspra Bzdreği, organisty z Kobylěj-Woli. — Miał to być naturalny spadek granic.

— A cóż, zrozumiał waść?

— Gdybym zobaczył rzekę Nosek, dwa kamienie, gruszkę, Jędrzejów połanek, płot Tadeusza i studnię Kaspra Bzdreği, możebym i zrozumiał.

— Owo tedy *barania głowa z pieprzem i z im-*

bierem po cóż tu oglądać, kiedy dokument jaśny jak słońce, mości dobrodzieju.

— Istotnie, dziaduniu dobrodzieju, że dokument jest dobry, ale nie zaszkodziłoby, abym się na miejscu przekonał.

— Kubek w kubek gada, jak te Niemcy; — owo tedy *barania głowa z pieprzem i z imbierem*, mości dobrodzieju, napij się waść gdańskiej wódeczki, bo trochę mokra będzie przechadzka; na czczo mogłoby zaszkodzić; a kiedy waści życzysz sobie obejrzyć *locum quaestionis*, to i pójdziemy; — podoba mi się, że waści z gruntu rzeczy bierzesz.

Ktoż opíše moje podziwienie, gdy pocciwy dziadek zamiast wskazania rzeki Noska, kamieni, gruszki, płota i studni, oprowadziwszy mnie przez góry i wąwozy pół milowym lasem, od stu lat ręką ludzką nie tkniętym, ominąwszy jezioro, 20 włók ziemi orną, tyleż łąk i pastwisk, powiódł laską w powietrze od lewej na prawą i rzekł: — Ot! dotąd jest nasze.

— Czyje, dziaduniu?...

— Najprzód Boskie, potem moje, a po mojej śmierci ojca waścinego, a po jego najdłuższem życiu....

— Ale przepraszam dziadzie dobrodzieja, gdzie tedy owe znaki graniczne? — Nadto w dokumencie mowa tylko o sześciu włókach, a myśmy podobno zajęli 60 z okładem.

— Ot także uczyli aspana! kić tam lichy

i czego, mości dobrodzieju! owo tedy *barania głowa*. — A toć-że asanu powiedziałem, że łatwiej wynaleźć naciosy i kopce, kiedy się *kontrowers* w przyzwoitym zakresie oznaczy.

Na samém dokończeniu przedobiedniój modlitewki, którą dziadek z wzniesionemi w górę oczami odmawiał, wbiegł zadyszony Jacek, strzelec leśny, i zanim jakoby miech kowalski nadymająca się gęba Jackowa dowód różnicy zwierząt od ludzi złożyć była zdolna, — już dziadek mój powrócił z alkowy z serpentyną u boku i z charapnikiem w ręku.

— Mateusz! kasztankę! — Wołać mi Poniwkę! Janie! żywo po gromadę. — Dworscy na koń! — Dla pana Augusta okulbaczyć gniade-go! — Żywo! żywo! Przez ukrzyżowanego Chrystusa Pana te chołysze zjeść mi spokojnie nie dadzą..... Waść stoisz jak słup! Bierz gwin-tówkę a i kawał żeleźca nie zaszkodzi.

— Cóż to znaczy, dziaduniu?

— A patrzaj go! — Owo tedy *barania głowa z pieprzem i z imbierem* chciałem powiedzieć mości dobrodzieju! pytać się „Co to znaczy?...” A toćże to te szambelańskie pogany mój własny las rąbią, którego, Bóg widzi, ochraniam jakby na lekarstwo.

— Przy Pokutnem od wielkiego żalu *) już dwadzieścia hoic ucieli, a jest ich tam z siekierami jakby mrówia i pan szambelan z synem przyglądają się — wyjąkał Jacek.

„*Pod Twoję obronę*“ wymówił dziadzio, gdyśmy z dziedzińca ruszyli. Było nas w 13 koni; piechota pod przywództwem ekonoma Ponikwy z widłami, z siekierami i z różnem ręcznem narzędziem gnała na przełaj do drogi od Smołęcina, dóbr pana szambelana.

— Tu tedy — *owo tedy barania głowa* płynęła, mości dobrodzieju, *z pieprzem i z imbierem* rzeka Nosek, — wyrzekł dziadzio, mijając sążnistym kasztanki kłusem jakiś malenki strumyczek.

Pod *Jelenią górą* osadził dziadek kasztankę na tylnych, ja ledwo żem się przez kark gniadego nie zwałił; — szczęściem koń miał mocną grzywę.

— Także owo tedy uczyli waści wierzchem jeździć! A przecież to pan Franciszek, ojciec twój, 30 lat służył wojskowo, — a Odrowęże w piechocie nie bywali, mości dobrodzieju. — Trza zaczekać, aż Ponikwa się ozwie.

Nie upłynęło i pięciu pacierzy, bo i konie jeszcze nozdrzami gęstą ciskały parę, na zachodzie padł strzał daleki, po chwili i drugi.

*) Żalanami nazywają ludzie wiejscy dawno arykańskie cementarz; jest to za zwyczaj pagórek z sterczącymi kamieniami, pod któremi zawsze urny z popiołem i inne pamiątki znaleźć można.

Cieniem stuletnich dębów ponure brzegi jeziora przyjęły odgłos wystrzałów, gdy i mój dziadek z krucicy wypalił. — „Kto mi tego psu-brata uchwyci, dam mu łaskawy chleb do śmierci!“ zawołał dziadzio i w mgnieniu oka wpadliśmy z poza góry na szambelańskie zastępy.

Dubium belli eventus — możeby nam się było i po skórze dostało, bo szambelańskich na stu starczyło; — ale gdy panu szambelanowi siarka tuż pod nosem małym przesunęła się obłoczkiem, ledwie zdążył wymówić „*Joséphe! prenez garde*, ta poczwara strzela do ludzi“ spał srebrną ostrogą angliczowanego i wraz z panem Józefem na wyścigi pierzchnęli.

Trzydzieści wozów z zaprzęgiem, *alterum tantum* siekier, czapek i sukman uwieńczyło zwycięstwo; a gdy Ponikwa z piechotą nadciągnął, już pole bitwy z nieprzyjaciół oczyszczonem było.

— Czy go waści mocno obłożył?

— Będzie pamiętał, dziaduniu; ale bo też to jędrna nahajka a pan szambelanie w nanki-nowém był odzieniu...

— Zląkł on się i mojego prochu — a Bóg świadkiem ołowiu nie było.

Właśnie zabieraliśmy się do powrotu, gdy z pośród gęstwiny lasu wynurzył się Jacek. Wszyscy obecni, nie wyjmując i dziadzi, przelekliśmy się istotnie na widok Jacka. Gęba rozwarta, usta zsiniałe, lica jakoby z kredy,

włos najeżony, oczy kołem biegały, nieruchomy język bez najmniejszej władzy na dolnych spoczywał zębach, nogi się pod nim trzęsły, — wreszcie upadł na kolana przed dziadzią i okropnie westchnął.

— Jacku! cóż ci się stało?... Gadajżeż, Jacuniu! A przecież ja wiem, żeś ty człek uczciwy i dbały o dobro moje sługa. — Coś go nastraszyło.... może mu się bies pokazał.... Jacusiu, przeżegnaj się....

— Wielmożny panie! — Wielmożny panie! Boże mnie sądz — ja.... nie winien.

— Cożes takiego zrobił?

— Wielmożny panie! anim go dotknął, anim go ruszył, chyba że go Bóg żywie ukarał za to, iż cudzego zapragnał.

— Jacusiu! *owo tedy barania głowa z pieprzem i z imbierem*, — tylko się nie lękaj! Kogo to pan Bóg ukarał?

— A jużec wej sombelana.

— Toćmy wiemy, że uciekł; i cóżby mu się więcej złego zrobiło?

— Prawda, Wielmożny panie, że on zawsze nasze granice nachodził, ale żeby go tak rychło Bóg skarał, tego ja się nie spodział.

— *Owo tedy barania głowa* — powiedz, Jacku, jak go to pan Bóg skarał?...

— Wielmożny panie — proszę jegomości, jak my z panem okonomem zabieżeli od snołęckiej drogi, posłał mnie oto pan Ponikwa,

abyśwa z Grzelą i ze Stachem od wąchockiego dołu hałas robili, — bo chocia tam i w drzewinie przyciasno, ale na wąchocki dół najbliżej mi było uciekać. Jeszcześmy do *Jeżowego dęba* nie zbieżeli, już pan Ponikwa z fuzyi wygarnął, a że i wielmożny pan ozwał się pod Jelenią górą — także my tedy poczęli wedle rozkazu pana okomona krzykać — „*Trzymaj, chwytaj, nie puszczaj*“ — i szliśwa naprzód ku Jeleniej górze; — wtém — Boże odpuść — sombelan ze synem, co koń mógł wyskoczyć, gnali przez wycinki; jakże ja ich ujrzał, krzyknąłem w pełne gardło: „Hu! ha! trzymaj!“ bom miarkował, że to już kuso ze sombelańskiem; — a on stary jak skręci konia w bok, jak się o sosnę dmuchnie, myśleliśwa, że chyba się o nią spłaszczy. — Ale nie taką mu Bóg śmierć naznaczył, tylko się za krzyż pomacał i nuże dalej uciekać. — Myśwa że téż znowu krzyknęli: „*Nie daj! — łapaj!*“ — on jak ślepy Mazur nie patrząc przed się, naprzód szorował, aż się koń pienił, a syn tuż za nim. — Grzela chciał mu zabiedz od wąchockiego dołu, wtém wielki Boże! — sombelan wpadł pod jodłową gałąź — i wój, tak jakby nożem skrajała mu się głowa.

— „*In Nomine Patris*“ — zawołał dziadzio — „O la Boga!“ — wrzasnęli chłopci.

— I gdzież! gdzie leży? — spytał się i pobladł dziadzio.

— Głowa leży przy wąchockim dole — a on pojechał kiejby jaki upiór do Smolecina, jeno mu się syja świeciła a krew strumieniem żygała!.....

— Pewno trupa koń w pędzie uniósł, wyrzekł, żegnając się, dziadzio. — Prowadź nas, prowadź na to miejsce.

Po drodze dziadunio często wzdychał i pacierze odmawiał; — jam milczał, dziatwa pomiędzy sobą szeptała. — Za grędzińską strugą napotkaliśmy osmuconych Grzełę i Stacha. — Zgodnie co do słowa powtórzyli to samo, co Jacek był wyznał.

Zimno się każdemu z nas zrobiło. Dochodząc do wąchockiego dołu, Jacek wyprzedził nas o kilkanaście kroków i pod wspaniałą jodłą ukłęknał i przeżegnał się.

Z prawdziwem przerażeniem przystępuje dziadzio w to miejsce, gdzie głowa szambelana miała leżeć, — a za nim i my wszyscy posuwamy się. — Patrzymy, — aż tu rozczochrana, ryża peruka! leżała przed Jackiem.

Śmiech powszechny zastąpił miejsce przestachu a że to był dzień pierwszego kwietnia, dziadzio rzekł z dobrocią: „*Owo tedy barania głowa* mimowolnie, mości dobrodzieju, zrobił nam *Prima-Aprilis*.”

LIST PANA JERZEGO ŁYSINY

I

ZNALEZIONE PRZEZ NIEGO PISANIE.

LIST PANA JERZEGO ŁYSINY

I

ZNALEZIONE PRZEZ NIEGO PISANIE.

Wielmożny Mości Dobrodzieju!

Jadąc w zaprzeszłym tygodniu do Kozienic celem przyzwoitego opatrzenia się w napój czysty i tani, którym jednooki Johnas z własnego winobrania na Węgrzech świeżo piwnice swoje napełnił, dumalem sobie nad marnościami świata; bronowłoki leniwym szły krokiem, telega zwolna się tylko po głębokim posuwała piasku i już pod Majdany dojeżdżam, kiedy skwarne słońce, siekąc mnie z góry, jakoby makiem po oczach sypnęło, — zaczęm w jednej chwili wielowładny Morfeusz rozpostarł panowanie nademną czyli, wyrażając się bez pomocy bożków mitologicznych, sen ciało moje owładnął — a mówiąc zupełnie wyraźnie, usnąłem.

Zawsze w murach nad papierami ślęcząc, nie wiesz, zacny panie, jakim jest sen na wolném

powietrzu, który matka natura dla najmilszych dzieci swoich, dla nas wieśniaków, przesyła. Spałem smaczno — wyśmienice; gardłowy organek cudnym brzmiał głosem, wdzięczne marzenia czucie lube tworzyły i gdy tak, panie, śpię, mój stary Grzesio także się był zdrzymał. — Ponieważ zmordowane i tępe bydła przystały, nie wiem, jak długo w tym bezgrzesznym pozostawaliśmy stanie i dopiero ognisty huk z bicia nad uszami przebudził nas obydwóch.

Grzesio krzyknął: „Ratuj! — jam wrzasnął: „Haż go ha!“ śniło mi się bowiem, że m kusego w kotlinie upatrzył. Aż mi się w oczach zaśniło; szlachcic czwórka z miasteczka wyjeżdżał, gdzie spojrzysz złoto na zaprzęgach, na karocy, na kapeluszach, na kołnierzach, na biodrach, z przodu, z tyłu — wszędzie złoto-guzy z herbami i złoto. Mimowolnie uchyliłem czapki, bo któżby się tak bogatemu nie uklonił panu! — Gapię się tedy i dziwuję, jak to u nas jeszcze tego złota kupa, gdy Grzesio trącił mnie w kolano i wskazał na zieloną torebkę, leżącą w kolei pojazdu, który nas co dopiero był minął. — Wołam za niemi: „Stój! stój!“ — ani się obejrzał — trudno sobie gardło rozedrzyć; — więc zaglądam do oniej torebki i znalazłem: — 1. Spis rocznej pańszczyzny, powinności, darmochów i danin z dóbr Lichoty Wielkie. 2. Pomysł do zwiększenia dochodów propinacyjnych. 3. Obrachunki z starozakonnym kupcem Moselsztejn i przedugodne

warunki do sprzedaży zboża z roku, da Bóg doczekać, 1842. 4. Rozpieczętowany list do kochanego Kazimierza W. w Warszawie.

Spis rocznej pańszczyzny zatrzymuję, gdyż mi jest potrzebny do objaśnienia się, albowiem dobra Lichoty Wielkie są wystawione na konieczną sprzedaż. Pomysł do zwiększania dochodów propinacyjnych, rzecz wielkiej wagi, przedmiot czysto-rodowy, zachowam na właściwy użytek. Obrachunki z panem Moselsztejn złożyłem panu burmistrzowi, — pisanie zaś Augusta do Kazimierza odsyłam WP. Dobrodziejowi; być może, że go w Ramotkach umieścić zechcesz.

Proszę przyjąć zapewnienie wysokiego poważania etc.

Jerzy Łysina.

Pisałem w Peruce dnia 26 maja 1841 r.

P. S. Donoszę też Panu Dobrodziejowi, że mówią tu u nas na wsi, jakobyś Pan nadsyłane do pism czasowych artykuły z prowincyi niechętnie przyjmował. — Zrobiłem zakład, że to jest wieść fałszywa i że z pewnością, czy to w mieście, czy w miasteczku, czy na wsi pisane byle uczciwie i celowi odpowiednie, a nie żadne brednie (nie przymierzając do listów moich) — iż tedy WP. Dobrodziej nie tylko że wydrukować każesz ale i wdzięcznym za to będziesz. Boć i śliczną zaiste jest rzeczą, kiedy wypoczęta,

jędra, ciąglem w aktach szperaniem niespleśniała wiejska głowa palnie coś od serca. Wszakżeż my to do tych samych szkół, co i panowie, chodzili, bo nawet bywało dawniej a i dzisiaj, chociaż nie tak często zdarzy się, że pisanie nasze jest pełne wdzięku i istotnej mądrości, a jeżeliśmy mniej zachowali wyrażen pedagogicznych, więcej natomiast pozostało uczucia i zdrowego rzeczy widzenia. Przy najskrajniejszym zaś gospodarstwie na czasie wolnym do pisania nie zbywa.

Jerzy Łysina.

ZNALEZIONE PISANIE.

Kochany Kazimierzu!

Imieniem moich sąsiadów i współobywateli szczerze składam podziękowanie za pochlebny sąd o naszej okolicy, a że prawdę nad wszystko przenoszę, iżbyś nie rozumiał, że rzeczywiście popęd do nauk jest tutaj bezwyjątkowym, wedle życzenia Twojego przysyłam ci w skróceniu wierny obraz mojej podróży, którą w posłudze literackiej odbyłem.

Odebrawszy wezwanie wasze, nie długom rozmyślał i już nazajutrz ruszyłem. — Zły był początek. Pomimo że woźnica znaku krzyża

ś. przed końmi przy wsiadaniu zrobić nie zaniedbał, — w drugiej zaraz wiośce, którą j. w. Honorowicz w dożywociu trzyma, na dziurawym moście mój ulubiony drażkowy deresz tak się nieczłecznie zahaczył, iż mu z trudnością usługane chłopki nogę wydźwignąć zdołali. Niezrażony przypadkiem a wierny powołaniu, jadę — przypomniałem sobie owego organistę, którego na dobre dzwonił kazanie; wtém Jędrzej się ozwał:

— Wielmożny panie, nasz deresz napada.

— Czy bardzo?

— Niezgorzej.

— Zajedź do dworu, obejrzymy. — Jakoż zajechaliśmy przed pochylony ganek domu j. w. Honorowicza.

Na turkot bryczki wybiegł do mnie w jasnozielonym fraku, w niebiesko-skrochmalonej kamizelce, z grubym obwiązaniem szyi, w nankinach, z białą chustką w rękę, — jasno-włosy, modro-oki, greckiego nosa, tuszy i wzrostu w samo prawie, gospodarz domu, j. w. sędzia Honorowicz.

— „Witam, witam, niegrzecznego, niedobrego, niełaskawego na nas sąsiada!“

Na uprzejmy zarzut tłumaczę się, jak mogę, gdy usługny a sążnisty drab w starej liberyi płaszcz z ramion moich zerwać raczył.

Weszliśmy do pokoju, gdzie mnie na raz różno-rodne i sprzeczne uderzyły przedmioty;

zastalem nie mało osób, wśród nich na stole częścią przepołowionych, częścią nie tkniętych jeszcze ośm wina węgierskiego butelek, obok leżały książki, kajety i gitara. Powstali na moje przywitanie obecni: jegomość ksiądz proboszcz; pani sędzina w ogromnym czepcu a tyle w kwiaty obfitującym, iżby sobie niemi małe cielátko podjadło; chudy podsędek z żoną i córką; pan Bębno, rosły i barczysty, na urząd zbudowany szlachcic, — jakżem się później dowiedział, przybyły z Litwy wujaszek; — pan Porto, porucznik węgierskich huzarów, czupurny, z miną gęstą, z wykręconemi do góry wąsami, z pierwszego rzutu oka chwyt i hulaka; pan Ponowa, burmistrz poblizkiego miasteczka, jak mi mówiono, człowiek niegdyś dobrze urodzony, niegdyś posiadacz pięknego mienia; — państwo Nierządkowscy, dziedzice dóbr Gzysy z miłą konsolacją: z Narcysem, Hyacynthem, Różą, Hortensyą i małym pieśczołkiem, trzynastoletnim Cyprysiem i t. d.

W takim gronie osób na środku stali synowie j. w. Honorowicza: Anzelm i Gracyan, wyrazu twarzy wcale nie genialnego, lecz włosy wedle ostatniej mody po za wielkie uszy spadały. Czynili popis szkolny, przyczem wyrodziła się kwestya naukowa; — dla tego po przywitaniu wynurzył j. w. gospodarz nieskończoną radość, że przybyłem w taką właśnie porę, kiedy byłem najpotrzebniejszy! Młodzi Hono-

rowicze twierdzili, że Cyrus, król Persów, zburzył Macedonią, Porto! zaprzeczał, dowodząc, że Macedonia dopiero przez Anglików zbombardowana była. Ksiądz proboszcz, który mógł bezwątpienia spór ten rozstrzygnąć, dysertacyi o poganach nie lubił i radził, aby do innego przeszli przedmiotu; — ale panna Hortensya, co z całego serca radaby zwycięstwo starszego z synów j. w. Honorowicza, pana Anzelma, a upadek pana Porto widzieć, nie dozwoliła rzeczy niedokończonej opuścić; moje więc zjawienie się (a trzeba ci wiedzieć, mają mnie w całej parafii za bardzo uczonego) uważając jako nader szczęśliwe, hurmem i obces żądali, abym ja sprawę tę rozsądził. — Miłosiernie spojrzał na mnie Porto. Nie wiem, z kąd mnie pustota napadła, gdym się w następne odezwał słowa:

— „Żyjący pierwiastek ludów wschodnich tak odrębną nosi barwę w wypadkach wojennych, tak istotną naprowadza myśl samoistnej wiedzy, tak gwałtowném jest połączeniem myśli i rzeczywistości w dzisiejszem pojmowaniu, iż trudno było współczesnym a niepodobieństwem jest dla następnych źródło prawdy wyczerpnąć. To przecież z podań ustnych w nieulegającą zamienianiu się pewnością, że pod murami Macedonii znajdowały się i wojska Persów i morskie zastępy Anglików a raczej Szkotów, którzy pod wodzą króla Roberta Bruce w pomoc Cyrusowi przybyli.“

— Bravo! Bravo! — krzyknęli wszyscy, — to mi erudycya, to jest rzecz objaśnić. — Cieszyły się panny Nierządkowskie, cieszyła się mama, cieszył się i pan Porto, przypominając panu Bębno, że Szkoci, *Erländczycy* i Anglicy zawsze jedną stanowili *nacyą*.

Ksiądz proboszcz tylko jakąś chciał czynić opozycyą co do równoczesności Roberta z Cy-rusem, ale go burmistrz z panem Zawissowskim na wielkie moje szczęście zagadali, krzycząc co gardła, że ksiądz proboszcz zawsze się spiera chociażby o rzecz tak jasną jak słońce.

Zaczém téż podano kielichy i egzamin byłby się skończył, gdyby nie płeć piękna, która grę na gitarze i śpiew pana Anzelma słyszeć pragnęła.

Zatrzymał więc w ręku j. w. Honorowicz potężny kielich a pan Anzelm, 17to-letni młodzieniec, zarzuciwszy niebieską wstęgę przez barki, stanął w smętnej postawie i silne uderzył akordy; — odśpiewał najtkliwszym głosem: Żale Amelii, — znane Dumanie północne o księ-życu, — z Wolnego Strzelca: „Przynosim ci mirtowy kwiat,“ — i Porwanie królowej z ciemnego lochu.

Chwil kilka jak już dźwięk struny ucho pieścić przestał, a nikt z obecnych ogólnego milczenia przerwać się nie ośmielił. — Jam pierwszy wyrzekł: „Ślicznie!“ a ten tylko, co był świadkiem pożegnania się wędrującej trupy aktorów, którzy do dwóch miast wezwani na

dwie części się dzielą, może sobie wyobrazić hałas, wrzask, czułość, łzy i uniesienie, jakie po mojem „Ślicznie“ nastąpiły.

JW. Honorowiczowie oboje i panna Hortensya płakali głośno jakoby na najsmutniejszym pogrzebie; — wujaszek z Litwy ścisnął Anzelma tak szczerze, że aż w niebogłosey krzyknął kawaler; — dziwili się i inni i gwałtowne sypali pochwały; jeden znów tylko proboszcz treść śpiewów ganić się zdawał. Ale i tu burmistrz, pan Zawissowski, a tym razem już i pan Porto i pan Nierządkowski, zagłuszyli go wyrzutami mantycstwa. Czuły to był obraz rodzicielskiego — (tutaj stryjowskiego) — szczęścia; wspaniały widok przejętych chlubą młodzieńców z ukończonej *edukacyi*, i rozrzewniającym udział, jaki sąsiednia przyjaźń tak dobitnie na jaw wykryła.

Wniesiono parę mchem obrosłych butelek i prędjéj przy budowaniu wieży Babilońskiej mógłbyś być za słowo uchwycić, aniżeli wśród tak pamiętnie gwarzącej tłuszczy przyjaciół. — Lecz niesie stare przysłowie: *est modus in rebus*; — wziąłem więc do ręki gitarę, pospieszyły damy, najmiléj prosząc, bym grał i śpiewał. Jedne z tych bogiń pozostały przy mnie na straży, drugie rozbiegły się po sali do wyproszenia spokojności. — Któż kiedy sile kobiet oprzeć się zdoła? W jednéj chwili wszystko ucichło, wszystkich oczy nad roztwartemi ustami błyszczące na mnie się zwróciły; — korzystałem

z téj ciszy niebawem, w następne odzywając się słowa:

„Wielce łaskawi sąsiedzi! skąpa przyroda nie obdarzyła mnie zdolnością muzyki, natomiast dała mi pewien pociąg do nauk. O potrzebie oświaty w tak zacném gronie przemawiać byłoby zbyt zbyteczném, ale zawiadomić was o nowych pracach literackich miłym staje się dla mnie obowiązkiem. Jeden z moich dawnych szkolnych przyjaciół wykrył rękopism nader ważny, nie drukowany dotąd. Dzieło to dla historyi wielkie przeniesie korzyści, a dla literatury naszej będzie niepoślednią ozdobą; — idzie jedynie o kosztą druku. Przedpłata dwóchset egzemplarzy wszystkiemu zadosyć się stanie. Zaszczycony zaufaniem odebrałem polecenie, abym w téj okolicy zbierał prenumeratorów; raczcie więc, panowie, oto na tym papierze (tu wyjąłem z zanadru prospekt) podpisy swoje wyrazić a w przeciągu trzech miesięcy każdemu z was dzieło dostawić przyrzekam!“

Po téj mowie zrobiło się cicho. — Cicho wszędzie — pomyślałem — co to będzie! co to będzie?... gdy i jeden głos nie odezwał się w otaczającém mnie kole. Wreszcie pan Zawissowski przerwał cierpkie milczenie:

— Za pozwoleniem, czegoż istotnie pan major żądaśz?...

— Proszę, odrzekłem, abys pan raczył dać dwadzieścia złotych, za co ja po upływie trzech

miesięcy nadeślę mu dwa tomy dzieła historycznego, które co dopiero wymienilem.

— Chwalebne, bardzo chwalebne przedsięwzięcie, panie dobrodzieju! lecz ciężkie to czasy. — „Ciężkie, sąsiedzie dobrodzieju!“ — odzywali się po kolei pp. Honorowicz, Nierządkowski, burmistrz, podsędek i jakoś powoli, — w zamieszaniu każdy się do przybocznego wyniósł pokoju.

Wtem przysunął się do mnie porucznik i z cicha zagadał: „Na Boga! co pan robisz?... takie w tym domu czyniąc odezwy, rozpędzisz gości!“

Wejrzałem przez okno; stał mój Jędrzej z zaprzężoną bryczką, pożegnałem więc j. w. gospodarstwo, którzy mnie i nie bardzo już zatrzymywali, ukloniłem się całemu towarzystwu i uczułem się w moim płaszczu, na mojej bryczce, na drodze ku Rownu.

W godzinkę stanąłem w Rownie. — Przez bramę, herbami upiękzoną, wjechałem na obszerny dziedziniec. Wałące się gumna, wśród nich straszliwy nieporządek, przykro raziły oko; — natomiast pałac, pokryty cynkiem, z po za ogromnych filarów dumnie na stare zabudowania i chrościane stodoły spoglądać się zdawał.

Przed pałacem przyjął mnie młody Astolf Badyłło po przyjacielsku, wedle zwyczaju.

— Jak się masz, Auguste! to wielkie szczę-

ście, żeś mnie w domu zastał, bo dziś jeszcze do Włoch miałem wyjechać.

— Do Włoch? Tak daleko! — a po co? — zapytałem, gdyśmy się w kawalerskim gabinecie Astolfa ujrzeli.

— Do Włoch! — do Italii! Zwiedzę Wiedeń, Medyolan, Wenecyą, Turyn, Florencyą, Neapol, — w Rzymie przezimuję; — potem dalej na Alpy do Szwajcaryi; przez lato zabawię u wód, pod jesień wpadnę do Paryża, zajrzę na chwilę do Londynu i za rok przez Hamburg, Drezno, Berlin i Wrocław powrócę do Warszawy.

— Zapewnie naukową odbędziesz podróż?..

— Naukową? a niech mię Pan Bóg broni! już dosyć tych nauk. — Nie, łaskawco! ja przeznaczam parę krok i wyjeżdżam na to, ażeby w świecie europejskim nabrać ruchu, *turniury, elegancyi, akcentu*, gustu; — przejąć się modami, poznać wyższe towarzystwa a przede wszystkim sposób podbijania płci słabiej. Zobaczysz, jak po powrocie wszystkim pięknościom w Warszawie głowy zawracać będę. Spojrzał w zwierciadło, pogłaskał wymuskane wąsy z hiszpańską i żydowską brodą i rozchwiane na ramionach włosy do utrefionego przywrócił porządku.

— Szkoda! ja rozumiałem, że zostaniesz z nami, poświęcisz się naukom, krajowemu przemysłowi i pracować będziesz wspólnie jako

dobry gospodarz, obywatel.... Czy to się z tą podróżą już zmienić nie może? jabyś ci radził...

— Mój kochany, proszę cię, nie perswaduj mi, bo ja zaraz w złym będę humorze.

— Kiedy tak, jedź więc; lecz przed odjazdem spodziewam się, że zrobisz co przecieź dobrego i na moję prośbę. — Właśnie przyjechałem do ciebie, pewny, że na wydanie historycznego dzieła, które, jak wiesz, Kazimierz wyśledził u jednego z uzdolnionych autorów, dać zechcesz kilka set talarów, przez co zapewnisz sobie wdzięczność naszą i powszechności.... Wydatek ten żadnej ci nie uczyni różnicy zwłaszcza przy tak wielkich dochodach.

— Mićże litość, kochany Auguste! Prawda, wielkie dochody! — *brutto* jest do miliona, ale *netto* ledwie trzykroć. Ta administracya największą część chłonie. Takiej summy, jak chcesz, dać ci nie mogę. — *Parol d' honneur* jak mamę kocham! nie mogę! — Ja jestem trochę zrujnowany. Przeszły rok w Warszawie kosztował mnie nie mało; widzisz, było to pierwsze moje pole, — musiałem się pokazać: damy — o damy! Także i w karty mnie wciągnięto a przyzwoitość nie dozwalała odmówić.

— To przynajmniej weź kilkanaście biletów....

— Kilkanaście! o nie! jeden, Gucieńku, jeden wezmę. Z resztą wasze te wszystkie pisma przy książkach salonowych to doprawdy

niedobrze wyglądają, — bo widzisz, *słowo honoru* w Paryżu....

Porzuciłem Astolfa i znowu z moim Jędrzejem na bryczkę. Dumania gorzkie zajmowały mój umysł i anim spostrzegł, kiedyśmy przed mury gorzelniane pana Fiksowicza zajechali.

Pan Fiksowicz jedną tylko ma myśl w swojej głowie, to jest maszynę parową Pistoriusza. Całe swoje życie, wszystkie zasoby, wszystko, co go otacza, radby na maszynę przerobić i przepędzić, byleby choć tylko jedną kwartę mieć więcej od sąsiadów swoich wydatku. Bawił u stryja w Galicyi na gospodarstwie i tam to podobno odkrył tę tajemnicę, że całe szczęście ludzi na wywarach i na kotle polega.

Wielki murowany dwór, niegdyś hetmana siedlisko, zmienił na gorzelnia. Zapomniał o żonie i dzieciach, których od lat kilku w mieście nie odwiedził, nie dba na przyjaciół, sąsiadów, na świat cały; sadzi dwieście morgów ziemniaków, poprawia, ulepsza, zwiększa, odmienia aparat, i dzisiaj o mil dziesięć w około on największy ma wydatek! i najmniej pieniędzy!

Przyjął mnie bardzo grzecznie i poprowadził do suszarni, do izby zaciernej, do pieca, do pompy, na dwór, pod strych i do piwnic. Zmordowałem się bieganiem, rozumowaniem, słuchaniem, i po zmarnowaniu długiego czasu

w żaden sposób do zapisania na dzieło historyczne skłonić go nie mogłem.

Zły sam na siebie opuściłem to miejsce, z którego nic prócz wódki spodziewać się nie można. Popędzał konie Jędrzej, odetchnąłem nieco. Już i bydło z pola gnano, gdy przed obszerny dwór pana starosty zajechał. Rad mi był szlachcic, zadowolona jejmość, że gość zawitał. Wina i wina *multum*. — Ale jak przyszło na orzech zgryść, izby dwadzieścia złotych z sakiewki wyciągnął, rozdąsał się jegomość na te wszystkie niepotrzebne książki, któremi wartogłowy świat zapełniają. Na próżno wystawiałem, że wnuczęta dorastają, że im się książeczki przydadzą; — było to, dobrodziej, groch na ścianę rzucać.

— „A dajże mi tam aści pokój! — Mam ja inne wydatki, nie iżbym ciężko zapracowane złotówki na papiery rozpraszał. Tu trza liwrunek, trza czeladź zapłacić, a grosz jak z kamienia; u arendarza pustki, chłopci pić nie chcą, a tu płąć i płąć. — Walenty! daj jeno większego kielicha! Póki, mówię, tych książek nie było, i zboże jakoś lepiej popłacało i tych chłopskich kasztanów nie tyle sadzono. I po prawdzie z książek nie uczono nas świętej ziemi uprawiać. Ot tak, panie! zarznij, odwróć rądem i broną, porusz, sypnij sporą garścią na nowiu i Bogu się oddaj. — Ale te tam w słowa płodo-ciężne — a w grosz lekkie gospo-

darstwa to na kaduka się zdadzą. Dawniej żytko i pszeniczka i basta. Dla tego też jak człek mruknął i kichnął, to go o milę było sły-chać. A teraz sieją morwę, burak, kartofel, lucernę, koniczynę i wykę; — ot też patrz, do czego to i pan i chłop, jeżeli się razem wy-mówić godzi, do czego to podobni.“ — Tak prawił starosta i gdy piąty już napełnił kie-lich, żyły mu na czoło wystąpiły i ze łzami w oczach zawołał:

— „Panie Augustcie! nie sil głowy! już mnie tam waści na starość nie nauczysz; — ale ot tak: — „Bodaj nam się dobrze działo!“

I ja już byłem po czterech ogromnych lam-pach, czułem ogień w mych żyłach, rzuciłem się więc w objęcia starosty i serdecznieśmy się ściskali, kiedy w najszczerszym zachwycie po-szepnąłem mu na ucho:

„Dasz, dasz, starosto, chociaż na jeden exem-plarzyk!“

Otarł szlachcic oczy, roześmiał się i rzekł:

— Teresiu, cóż począć; trza pono dać na ten rozum dwadzieścia złotych; — a nie możnaby to co utargować?...

Dzień cały zeszedł a ja ledwie że dwóch zdobyłem prenumeratorów. Stałość i wytrwa-łość w dobrém przedsięwzięciu, ta myśl mnie zagrzewała.

Następnego dnia gdym po dobrém śniada-niu z domu starosty wyjechał, mój Jędrzej mi

powiedział, że o nim i o koniach szczerze pa-miętali i że do bryczki włożono kobiałkę z py-tlowym chlebem, garnczek masła, barylkę bi-gosu i flaszkę alembikówki.

Kazimierzu! był to nadmiar gościnności sta-rościny, było to zupełnie zbyteczném. Lecz po-wiedz mi szczerze, gdybyś całe Włochy, Fran-cyą, Anglią i Niemcy objechał, czy znalazłbyś takie tło serca? Są u nas wady i wielkie! — jednakże są i nie zwykłe zalety! — Wady po-prawić należy i można, ale pięknej puścizny nie pozbawiajmy się z lekkomyślnością.

Wiedząc, że jenerałowicz, dziedzic Mętnej Woli, wesoło żyje, bo niedawno usamowolnio-nym został, spodziewałem się zastać u niego kilkunastu młodzieży. Nie omyliłem się też wcale. Na dziedzincu pod różnobarwnym na-miotem postrzegłem mniej więcej trzydziestu mężczyzn — w kamizelkach, w koszulach z ob-nażonemi szyjami, z magierkami na głowie, z olbrzymiemi cybuchami w uściech, — osła-niając się nieprzejrzanym dymem, siedzieli na około wielkiego stołu.

Jużem się zgrai hartów, wyżłów, jamni-ków, kundli i brytanów szczęśliwie opędził, ju-żem od namiotu o kilka tylko kroków był od-dalony a jeszcze nie mógł odgadnąć, co za ważny przedmiot tak liczne zgromadzenie w mil-czeniu utrzymuje — i dalipan! posadziłem ich o filozoficzne dumania, kiedy na raz słyszę:

„Attendez! parol z damy pod waleta, dyska się odgrywa.“

Zbliżyłem się ze zgrozą. Jenerałowicz podał rękę, lecz słowa nie wyrzekł; inni kiwnięciem głowy przyjęli mnie do grona swojego. Nie zadrasnę prawdy, gdy powiem, że sto z górą tysięcy było w obiegu. Właśnie gdy ryżego włosa, mocno zyzowaty, wstążeczką honorową ozdobiony, były wojsk neapolitańskich major talii dokończył, zgalonowany Edwin dał znać, że waza na stole.

— Jak się masz, Guciu!

— Jak się masz, Augustcie!

— Witaj nam, nowy poniterze!

— A cóż tu pana literata do nas przywiodło?

— Emil przegrany! — a i Spirydionowi mało co z pięciu tysięcy złp. zostało.

— Wiesz co? — gdyby mnie był król nie zdradził — ale téż to djabli był kusz....

— Panie majorze, pan się ładnie wycofał; ja rozumiem, żeś i wczorajsze zrewanżował.

— Co? zrewanżował? on wygrany przynajmniej dwadzieścia tysięcy!

Ba ba ba — co téż to mówicie, ja się zakładam o czterdzieści.

Va! idzie; ja stawiam Lotkę i Wichra a ty wierzchowca!

— Dobrze! idzie!

— Nie idzie! — odrzekł major, — bo ja

ani wygranej ani przegranej po dniu nie liczę; zresztą nie pamiętam, ilem założył.

— Guciu! po obiedzie spróbujesz i ty szczęścia.

— Uważaliście, że dwójka przez trzy talie leżała.

— Albo to i siódemka złą była?

— *Sacre bleu!* gdybym się był asa trzymał!

— Po obiedzie trzeba majora w stosika zażyć.

Major się uśmiechnął i ruszył głową na lewo i na prawo, dając znak „nie.“

— Ej diable się człowiek usiedzi przy tych kartach; żeby to jak najprędzej ś. Bartłomiej zawitał! Jakie mam pieski, panowie! w pierwszym polu a sforsuję ci najstarszego kota.

W tak miłym rozhowerze przybyliśmy do przestronnej sali.

— „Proszę, proszę, panie Augustcie! jakieś łaskaw, *prenez place.*“

Zupa żółwiowa, pasztet ze zwierzyny na zimno, szynka i szpinak z jajkami, szparagi, kalafior, dwadzieścia kapłonów z truflami, ciasta, ananasowe galarety, konfitury i cukry; kilka tuzinów *Cabinets-Schloss Johannisberger* i tyleż szampana, przeszło w przeciągu niespełna godziny w zgłodniałe kryjówki walecznych rycerzy króla Faraona. Poczem lody, maraskino, czarna kawa, znów maraskino, — bezzwłocznie

świeże fajeczki i, nie tracąc drogiego czasu — dalej pod namiot.

Pełnomocnik, dwóch ekonomów, pisarz prowentowy, gromadka rzemieślników, którzy pałac staroświecki przerabiali, potulne chłopcy i dumny kucharz czekali do dwónastej w noc na posłuchanie; lecz Edwin, prawa rączka, najmilsze oczko pańskie, kamerdyner Edwin, powiedział: „Jaśnie pan nie ma czasu“ — i wszyscy się rozeszli.

Zapalono nowe świece, minęła północ, kur zapiał, błysło zaranie, dzień jak wół, słońce weszło; trzy razy przez ten czas roznoszono zakąski: wino, herbatę, francuzkie i wrocławskie likwory, gdańskie, gorzkie wódeczki, w końcu po czwarty raz czarną kawę — a walaka zacięta nie ustawała na chwilę.

Dziadek kościelny dzwonił na mszę ś., kiedy major ziewnął i poważnym rzekł głosem: „Basta!“

Wszyscy groźnie na niego spojrzeli; on usta ironicznym i lekkim uśmiechem przykrasiał i jakby od niechcenia zapytał Henryka o konie, które od niego przed godziną był wygrał, czyli bez odmiany są kare.

— Możesz je sobie pan rok cały oglądać, dopóki ci ich w Kijowie na kontraktach zdolniejsi odemnie nie odbiorą, — odrzekł z goryczą pan Henryk Modrzyński, bo przegra-

wszy podniesiony zawczoraj posag swęj siostry i na własny ożenek kupioną czwórkę, do żartów ochoty nie miał. A i Błażej Hultnicki, którego wiezione na opłacenie raty Towarzystwa trzy tysiączki przepuścił, takż zębami zgrzytał. Inni, śpiewając i gwizdząc sławne aryje z wielkiej opery: „*Desperacya*,“ do małego lancusia, do sztosika zapraszali.

— Guciu! niechaj major prenumeruje, my nie możemy; widziałeś naszą klęskę, trudno, Auguste, i myśleć o dziełach historycznych, kiedy się taką wzięło frycówkę.

Major raczył oświadczyć chęć zapisania się na jeden egzemplarz i położył przedemną dukat oberznięty; — alem jego wspaniałomyślność odsunął, zapewniając, że książki, o których mowa, wiadomości faraonowych nie zawierają bynajmniej.

Strwoniwszy bezskutecznie niemal dzień i noc, o mojej przegranej nie wspomnę, w dalszą zabierałem się podróż, gdy jenerałowiczowi świeże od żyda z miasteczka nadeszły pieniądze; i kiedym z bramy wyjeżdżał, widziałem, że stół pod namiotem znów obstawiono do koła.

Ostatni to był dom w mojej wyprawie, gdzie odezwa literacka niemiłe czyniła wrażenie, gdzie o naukowych książkach z niechęcią i odrzą słuchano. Odtąd rozpoczęły się przyjemne sąsiedztwa. U wielu, krom tyle na wsi

potrzebnych pism treści agronomicznej, napotykałem porządne biblioteczki, u innych chęć do czytania nadzwyczajną. — Sam cel zapewnienia ważnego dzieła na własność publiczną pobudzał całe rodziny i pojedyncze osoby do składania przedpłaty, a kształcenie się umysłowe stało się już dla nich potrzebą. Trudno mi wyrazić rozkoszne uczucie, jakiego doznałem, widząc to szerzące się przekonanie, że obywatel wiejski istotnie znamienite zajmuje miejsce, że się nie godzi, aby prócz zapisywania pańszczyzny nic więcej nie znał.

Rozpowszechnia się wreszcie i u nas ta zasada, że właściciel dóbr ziemskich, wywierający wpływ na szczęście kilkudziesiąt, częstokroć i kilkuset rodzin, gdy od jego wyobraźni pada odblask na najliczniejszą część społeczeństwa, winien posiadać wiadomości wielostronne, wyższe usposobienie, zasadniczą a nie instynktową, za lada wietrzykiem zmieniać się dającą, moralną dążność i tę szlachetną godność, która głównie z prawdziwej oświaty wypływa.

Jest wprawdzie jeszcze éma wielka, ale liczba tych ludzi, których całą zaletą, że są dobrze urodzeni, z dniem każdym szczupleje. Honorowicz, Fiskowicz, Mętna-wola, — są to już coraz rzadsze zjawiska; przebija się i u nas nowa jutrzienka nauk i wyobrażeń dziewiętnastego stulecia. — Głupota i od nas wreszcie ucieka; — niechaj sobie biegnie w ma-

chometzańskie zwaliska; tam dla niej ostatnie uchronie, dość długo u nas gościła; — kraje chrześcijańskie swoje przeznaczenie pojęły.....

O mało-żem, wpadłszy w zapal, nie rozszerzył się nad tém, co tobie obcém bynajmniej nie jest.

Przypominając miłą dla mnie obietnicę, że mnie na wsi odwiedzić raczysz, oczekuję cię z utęsknieniem jako niezmiennie życzliwy przyjaciel.

A.

8 maja 1841 r.



LIST

do Redaktora Biblioteki warszawskiej z załączeniem artykułu p. t.

WŚCIEKLIZNA LITERACKA.



LIST

Do Redaktora Biblioteki warszawskiej z załączeniem artykułu p. t.

WŚCIEKLIZNA LITERACKA.

Mości Redaktorze Biblioteki warszawskiej!

W obrębie nauk, w oddziale prac umysłowych od dawna już *communio rerum bonarum* istniało, w nowszych zaś czasach za zasadę przyjętą jest.

Filozofia moralna, uwagi nad chorobami moralnymi XIX stulecia, w Tygodniku petersburskim umieszczone, kogoż z literatów, kogoż z mężów, ludzkością technących, nie uradują, w kimże wdzięczności nie stworzą? Ażaliż to bowiem nie jest pokarm na spólny duchowy pożytek?... Baczac, że Warszawa, mająca niemal wszelkie dobroczynne i wiele naukowych zakładów, mająca i gwiazdo-patrnię, pośród miast europejskich podrzędnego miejsca

nie zajmuje; bacząc, mówię, na to, powziąłem myśl, ażaliby i stałego spostrzegacza chorób moralnych XIX stulecia mieć nie winna.

W. pan dobrodziej znasz mnie, że jestem do popędu skłonny, że pomysły moje lotem błyskawicy w rzeczywistość przechodzą. Otóż ledwie żem oczyma Gorączkę paskwiliczną przebieżał, ledwo że mózg treść główną odgadnął, już pióro spostrzeżenia i uwagi nad wściekłą literacką kreśliło a serce leków poszukać i wynaleźć kazało.

Do w. pana dobrodzieja z prośbą się udaję, ażebyś raczył w Bibliotece warszawskiej, chociażby w Rozmaitościach, dla spostrzeżeń moich skromnego dozwolić miejsca. Niechaj się w. pan dobrodziej pierwszym artykułem nie przestrasza; jest wprawdzie okropny sam wyraz „wściekła” i odrazą napęnia, wszakże zagłębiając się nadal w tej pięknej gałęzi sztuki lekarskiej, wynajdę chorobę, może mniej gwałtowną; i tak: na październik, da Bóg doczekać, pragnę wykończyć spostrzeżenia nad mdłościami literackimi; na listopad poczynię uwagi nad chorobą „Kołowacizna” czyli „*Kołowrot*” zwaną; — na grudzień wygotuję receptę na Przeciebień mózgu; — i nadto celem pożegnawczej czci dla starego roku obszerną napiszę rozprawę o hemoroidach w poezji; — jest to słabość niestety! bardzo dzisiaj pomiędzy młodymi ludźmi zagęszczona, do uleczenia trudna.

Zakres Biblioteki warszawskiej umiejętności lekarskich w sobie nie mieści; aleć ja, pisząc o chorobach moralno-literackich, na zarzut wnoszenia prospektem nie ogłoszonych przedmiotów nie zasługuję, bo filozofią moralną obrabiam.

W nadziei że.... że, — to jest, jak się w. pan dobrodziej domyslić raczysz, — pragnę przy powtórzeniu prośby o łaskawe przyjmowanie moich spostrzeżeń, list przyzwolicie i z grzecznością zakończyć — a zatem z poważaniem nader i wielce życzliwy i t. d.

Au. Wi.

Pisałem w Warszawie d. 13 sierpnia 1841 r.

P. S. Zobowiązanie się moje przesłania w. panu dobrodziejowi dalszych artykułów o tyle tylko za pewne oznaczam, o ile uledez mi nie przyjdzie pod prośbami literatów, cichaczem leczyć się chcących.

WŚCIEKLIZNA LITERACKA.

Spostrzeżenia warszawskie nad chorobami moralnemi XIX stulecia.

W naszym wieku, wieku ciągłych popędów i pomysłów a, Bogu dzięki, i rzeczywistych po-

stępów, objawiają się częste poszlaki rozmaitych i różnorodnych słabości umysłowych a nie rzadko chorób moralnych; wyborny opis niektórych czytaliśmy w Tygodniku petersburskim.

Wysoce ceniąc usiłowania ludzkością tchnących mężów, a zarazem zważając, że z jednego miejsca wszystkich spostrzeżeń uczynić nie można, przedsięwzięliśmy i z widnokregu warszawskiego rzeczono choroby literackie badać, nowe odkrycia gromadzić i takowe na duchowy całego świata pożytek ogłaszać, przez co pierwotnemu przedsięwzięciu nie tylko przyjdziemy w pomoc, ale i możebną jednostronność w poczynionych już uwagach albo usuniemy lub też przynajmniej sprostujemy. Iżby zaś godnie zacząć, wprowadzamy rzecz jeszcze nie tkniętą, chorobę ciężką, zjadliwą, dobru ogólnemu zagrożającą, to jest: mówić będziemy o wściekliwości literackiej.

Wściekliczna literacka, (*frenesia subtilis*, vel *metaphysica*), podobną jest do wściekliczny zwykłej (*hydrophobia*), ale w swój istocie całe od niej oddzielna i do zupełnie innego rodzaju należy.

Główną przyczyną tej choroby jest: pierwotnie nadzwyczajna narośl miłości własnej, płynu zebranego w ogromnym zasobie. Badacze przyrodzenia przekonali się z licznych doświadczeń, że są istoty, osobiwie literackiego

powołania, które w ciągu życia gromadzą w sobie tego płynu tyle, iż on $52\frac{993}{999}$ razy więcej waży jak całe ciało ze wszystkimi dodatkami. Przypuściwszy więc, że literat, choćby też najchudszy, waży funtów 28 i łutów 4, narośl w nim taka ważyłaby centnarów 14, funtów 90, łutów $19\frac{11}{111}$, to jest tyle, co $5\frac{1}{3}$ najotyłszych ludzi. Zjawisko nadzwyczajne! — Naruszenie takowej narośli stanowi wścieklicznę literacką.

Do zebrania wielkiej ilości rzeczonoego płynu przysposabia natura a częściej wychowanie. Znajdowano ludzi, opatrzonych z natury łokciowym worem przy sercu na przyjęcie wszelkiego rodzaju pochlebstw i madrygałów, lub mających gęstą siatkę przy mózgu na przytrzymanie ulubionych myśli o sobie, które tam powstały w kształcie wieńca, kolumn, strzałek i aniołków. Troskliwe rozwinięcie i wzmocnienie sił umysłowych więcej od natury działa. Ztąd choroba ta niebezpieczna napada zwykle moralnie zaniedbane dzieci, pieszczochów, którzy utyli na karmelkach i pod wyłącznym dozorem ukochanej babki wzrosli, a często bardzo wielbicieli muz, to jest pomniejszych artystów dramatycznych, kompozytorów, malarzy, wierszopisów i wszelkiego rodzaju literatów. Choć to złe przywiewuje się zwykle do miernych zdolności, zjawia się jednak, ale nadzwyczaj rzadko, w talentach wyższych.

Miłośników sztuk pięknych prawie zawsze

usposabia do takiej choroby grono przyjaciół, krewnych, powinowatych, *kolligacyi*; wieczorunki, biesiadki; bliżej znajomi poczciwcy, kiedy są ludźmi ograniczonymi czyli z ciasnym pojęciem; — wśród nich ulubieniec robi pierwszy krok w obranym zawodzie i występuje z próbkami zdolności swoich. Na pierwsze zjawienie się, stósownie do przygotowania a często do ułożonego poprzednio programu, powstaje okrzyk podziwienia i radości. Ten okrzyk działa tak silnie na słabe nerwy ulubieńca, że zaraz w nich zaród choroby zostawia; odtąd pisarz lub artysta to pierwsze powodzenie uważa za swój świat, za świat ogółu, szpontuje się w nim szczelnie i w tym to stanie przylega mu do mózgu myśl, że on jest bez błędu, że jest doskonały, że jest nieomylny; — myśl ta medycznie nazywa się: *idea fixa*. Wówczas to właśnie zarodzi się nieszczęśliwa narośl, która się powiększa w postępie geometrycznym z jego publicznym życiem; od tej chwili rozwija się zgubna choroba z poznakami następującymi:

1) Ciągła litość dla wszystkich, co się ośmielają do niego zbliżyć i parę słów z objawieniem zdania swojego przemówić. Chory uważa, że innego nie potrzeba zdania, kiedy on już swoje światu ogłosił.

2) Wzdychanie do powagi, albowiem, chociażby był najmłodszym, przekonany jest zu-

pełnie o swą dojrzałość a nawet o starym i wytrawnym rozumie. W tej przybranym powadze tak wygląda, jak sześciolatek synek grenadyera w bermudy ojca lub malec postyliona w jego olbrzymich butach.

3) Wstręt do wszelkiej przyzwoitości, gdyż wszędzie rozumie, że jest u siebie i że nie potrzebuje na swoje czyny żadnego dawać baczenia.

4) Ciągła naiwna niewinność, szczególnie w mowie o własnych zaletach.

5) Uśmiech wewnętrznej rozkoszy, gdyż dla sprawienia sobie przyjemnych wrażeń puszcza po mózgu, jakoby chrabąszcze po nosie, same pewniki; na przykład zdaje mu się, że opinia publiczna, opinia jego wielbicieli jest nabytą na wieczne czasy własnością nieruchomą i nie zależy od jego zdań ani od jego czynów; uważa, że bez ustanku donośnym i pewnym głosem należy śpiewać hymn na cześć własną i wciągać gwałtem opinią publiczną do tego chóru, a ująwszy ją raz w swe dłonie, trzymać potężnie, bo ona nie ma własnej siły i jest jak chorągiewka, która się tak obraca, jak wiatr zawieje; nie przypuszcza, ażeby mu ktokolwiek chciał prawdę powiedzieć dla prawdy. — Smaczne prawdy przyjmuje a niesmaczne uważa za utwór zazdrości, zawiści i podłości nieprzyjaciół, którzy wiecznie wielkie talenta przesładują. Zdaje mu się, że zdobyta przychylnosc

opinii publicznej jest jak szata jedyna na ziemi, wtenczas kiedy wszyscy inni nago chodzić muszą. Dla tego nie dziwi się wcale, że kto się w szatę przyodziać pragnie, musi ją gwałtem, jak rozbójnik, ustrojonemu wydrzeć właścicielowi, gdyż innego nie ma sposobu.

W takim stanie choroby i przy tych pozna-
kach narodził dojrzewa, nabiera największych
drażliwości i to właśnie chwila zupełnego uspo-
sobienia do wściekłej literackiej. Za naj-
mniejszym poruszeniem narodzi niebezpieczna
choroba wybucha paroksyzmami, a jeżeli się kto
odważy lancetem lub igłą chociażby najdelika-
tniejszą narodzi przekłuć i dotknąć najczulszego
punktu, gdzie się *idea fixa* usadowiła, wów-
czas, osobiwie literat, staje się najgwałtowniej-
szym (*furiosissimus*), w paroksyzmie robi *salto*
mortale na kilka sążni od ziemi a potem zieje
namiętnością i metafizycznymi myślami jakoby
ogniem, zapomina o sobie a dla drugich staje
się srogim Atyllą, biczem Bożym. — Biada
temu, kto mu jakąkolwiek częścią wręce wpadnie!
Paroksyzmy takie rozmaite sprawiają skutki
stosownie do sił chorego. Jeżeli cierpiący jest
osobą bardzo słabych zdolności umysłowych,
narodzi wcale się nie zmniejsza, przybiera prze-
ciwnie twardą, jakoby żółwią powłokę czyli
tarcz, traci następnie czułość i niezdobyta idea
zostaje do śmierci; — jeżeli zaś chory obda-
rzony jest wyższymi zdolnościami a jego władze

umysłowe są silne, po pierwszym paroksyzmie
płyn miłości własnej z narodzi szybko odpływa,
a pacjent do zdrowia powraca i do takiego
nawet przychodzi zdrowia, jakim się nigdy po-
przednio nie cieszył. — Odtąd wesoło i jasno
w świat spogląda; widzi, że *opinia ogółu w jakich-
bądź przemianach jest zawsze zdrowym i najsil-
niejszym sądem*, na który się zupełnie spuścić
należy; że sypać pochwały jest najwygodniejszą
rzeczą i nic nie kosztuje, a być przeciwnego
innym zdania przychodzi trudniej i zawsze po-
trzebuję przynajmniej pewnego namysłu; że
nigdy w zdaniu nie chodzi o to, kto je odsłonił,
lecz o to, co powiedział zwłaszcza w czasach
dzisiejszego uobyczajenia, kiedy każdy z nas,
swoje zdanie drukujący, powtórzyć je gotów
ustnie a może nawet z małemi dodatkami. —
Takie się ocalonemu nastreczą uwagi i te go
zwolna przyprowadzają do wniosku, że czasem
może mieć błędy i że je drudzy nietylko wytknąć
lecz nawet roześmiać się z nich mogą; a czy to
sprawiedliwie czy niesprawiedliwie, to jednak
nigdy wartości jego nie zmniejszy, tém bardziej,
kiedy jój nie chce za wyższą, jak jest, sprzeda-
wać; — wówczas pozna różnicę pomiędzy zda-
niem, drukowaniem bezimiennie a pismami pry-
watnemi, jakie mu kto bezimiennie przysyła;
nie będzie ich odtąd nigdy razem mieszał, choćby
mu taki sposób obrony miłość własna najna-
miętniej doradzała.

Te i tym podobne myśli wejdą w miejsce pewników i odtąd postępować będzie razem z ogółem; poświęci mu swoje prace, uczuje, czém już jest, a najbardziej, czém być może i czém być powinien.

Prócz przekłucia narośli świadomi sztuki lekarskiej kilka jeszcze lekarstw na wściekliznę literacką doradzają, wszystkie jednak są tylko *preserwatywami* i używane być winny przed paroksyzmem. Niektóre okazały już wielki skutek. I tak przejażdżka, którąby pacjent mógł odbyć ze swojego świata na świeże, na inne powietrze, często działa najzbawienniej.

Krwi człowiekowi takiemu puszczać nie można, gdyż jęj ma bardzo mało a bardzo wiele potrzebuje. Wyborny sposób na wyleczenie jest rozpocząć z pacjentem grę w talizmana niewidzialności i, czy będzie krzyczał czy się będzie nadstawiał, czy będzie spokojny czy będzie w gniewie, udawać ciągle, że jest niewidzialnym i postępować tak, jak gdyby go nie było, jak gdyby go nikt nie widział i nie słyszał. Jeżeli to nie pomoże, potrzeba mocniejszego użyć środka: można mu wyjednać patent na spokojną fabrykacyą złych wierszy, niezdarnej prozy i innych klejonek. Patent taki należy doręczyć mu uroczyscie a potem wraz z jego najlepszymi sąsiadami wmówić w niego (co jest łatwo), że jest Apollinem i kadzić mu, kadzić jak najobficie dopóty, dopóki

opuchlina nosa nie przekona, że kadzidło zbawienny skutek wywarło. Po tej kuracyi pacjent, chociażby najdzikszy, często nabiera niezwykłej ogłady a nawet świetnej obyczajności. W szalonych paroksyzmach wścieklizny literackiej często i pacjent i obecne osoby są w wielkiem niebezpieczeństwie. Chory w zapamiętałém uniesieniu wszystkie w około przedmioty, chwyta zębami, — często niezwykły przez to okazuje apetyt do mięsa, osobliwie do kawałków delikatniejszych; — część więc pewną można mu dać do nasycenia się zupełnego a tym sposobem traci chętkę do wojowania zębami. Gdyby jednak komu miał ranę zadać a wściekły jest wierszopisem, należy natenczas co prędzej część skaleczoną jego własnymi wierszami okładać, które najlepiej goją.

Historyczne wiadomości o tej chorobie są bardzo niezgodne; utrzymują jedni, że przysłała do nas z Indyi Wschodnich od pokolenia, zamieszkującego pagórki „Samoluby“ zwane; tamże leczoną bywa przez Braminów za pomocą pędzlowania wroniém piórem, maczaném w prażonym miodzie. — Drudzy twierdzą, że ojczyzną wścieklizny literackiej są Chiny, gdzie na tę chorobę innych nie znają środków jak tylko zmuszenie chorego do zażywiania ciemieżycy, przez co nieszczęśliwy nieprzestannie członek powonienia przeczyszczają a w końcu o tyle go przeczyści, że wszelkie zapachy dostatecznie

rozdziela i zdrowym się staje. Niektórzy zaś wskazują za główne siedlisko wścieklizny literackiej krainę Arabów, zapewniając, że się okładaniem zimnej wody na czastkę leczyć zwykli. Ale to bajka być musi, — wszakżeż Arabowie są ludem prawdziwej poezyi, ognisci i mężni. To jednak pozostaje niewątpliwą prawdą, że wścieklizna literacka idzie za słońcem a nie pod słońce.

L I S T

DO REDAKTORA BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ,
DONOSZĄCY O NATARCZYWOŚCI CHORUJĄCYCH
NA MDŁOŚCI LITERACKIE.

L I S T

do Redaktora Biblioteki warszawskiej, donoszący
o natarczywości chorujących na mdłości
literackie.

Wielmożny Mości Dobrodzieju!

Jakoby duchem wieszczym uczyniłem uwagę, że w dostarczaniu spostrzeżeń nad moralnemi chorobami XIX stulecia mogą mieć od cichaczem leczyć się chcących niecofnięte przeszkody i że w takowym razie mojego zobowiązania się szczerze dotrzymać nie będę w stanie.

Czytaj, panie, i sądź; rzecz się tak ma.

Siedzę przy moim skromnym stoliku, okrywam się kłębami orzeźwiającego mnie dymku z ulubionej luleczki i z mężną cierpliwością Pamiętniki Kwestarza raz jeszcze poprawczo przezieram, gdy mój Pawełek donośnym u drzwi ozwał się głosem:

„Pan X... N...!”

— Czegóż tak wrzeszczysz, — nieco pomieszany odrzekłem — przecież nie jesteś woźnym; powiedz temu panu, że proszę.

Mężczyzna około 50 lat mający, z czarną czupryną, starannie do góry podczesaną, wzrostu w samo prawie, ubrany kuso i opięto, z laską w rękę bardzo przyzwoitą, bo i w złotą gałkę i w dwa kutasy zaopatrzoną, na pierwsze wejście człowiek uczciwy, (mówię uczciwy, albowiem dzisiaj porządnie ubranych ludzi po największej części uczciwymi zowią); on tedy mój gość po trzech czy czterech ukłonach rzekł:

— Czy mam przyjemność mówienia z panem
Au: Wi:?

— Co pan dobrodziej rozkazać raczysz?

— Jestem X.... N....

— Bardzo mi miło.

— Przychodzę do pana dobrodziejstwa w przedmiocie literacko-lekarskim, a mianowicie chciałbym pana prosić o tajemną radę, zarazem o zaopiecznienie mojej choroby od jawnych rozbiorów, które do Bibl. warsz. zapowiedziałeś.

— *MDłości, kołowacizna czy przeziębienie?*

— Istotnie są to *mdłości*.

— A więc *finesia suchotnu vel pura?*

— Tak jest, panie dobrodziejku.

— Wm. pan pragniesz, chcesz, usiłujesz pisać porządnie ale dokonać tego nie jesteś w stanie?

— Tak, tak, — o tak!

— Zwykle napada cię, panie, ognista wola zaczynania pracy od poniedziałku, od pierwszego każdego miesiąca, od kwartału, od półroczu,

i w żaden sposób nie rozpoczętego ani źle ani dobrze ukończyć nie możesz i, psując do roku kilkanaście ryz papieru, papierniom a nie literaturze przysługę czynisz.

— Prawdziwie, że się pan dobrodziej nie mylisz.

— Szczególniej zaś przy tej chorobie dotkliwą bywa myśl, że wszyscy na jednego się spiknęli, to jest: zdaje się Wm. panu dobrodziejowi, że każdy literat radby cię w łyżce wody utopić; że wysyłają na miejsca publiczne najemców, aby ci nawet twoje początki zganiłi; że całe miasto od rana do wieczora tobą zajęte, przeciw tobie knuje potwarze, przedzie intrygi i mylne rozpущa wieści, iżby cię zgnieść, zniszczyć, zatratować, panie, kiedy po prawdzie wielu zapomniało, że żyjesz na świecie.

— O! znasz mnie, panie, w najgłębszych tajnikach, znasz z najwyższą dokładnością; racz więc wskazać ratunek, a do zgonu najrzetelniejszą zachowam wdzięczność.

Dałem, o ile można, najwięcej pojedyncze a stanowczo skutkujące przepisy, to jest: radziłem mu albo rzec się nieszczęśliwego obrotu zawodu albo mimo lat pięćdziesięciu uczyć się pilnie, czytać wiele a czytać z natężoną uwagą i z pracowitością, jak np. zgłębić Platona, Arystotelesa i innych starożytnych klasyków; strawić Kanta, Szellinga i Hegla;

poznać dokładnie pisarzy z czasów zygmun-
towskich; zaprzyjaźnić się z uczuciem i z myśla-
mi prawdziwie wielkich poetów jak Niemniej
z dzieł najnowszych wyłonić sobie ideę dzisiej-
szego wieku dla wiedzy, czego obecnie świat
od nas żąda. — Przyczem zaleciłem okładanie
serca gorącym atramentem, odgotowanym w garn-
ku z gliny krajowej.

Młodości literackie, przekonałem się, dzieląc
się na dwie główne części, na prozaiczne i na
poetyczne, wyradzają się najczęściej na wsi i po
małych miasteczkach i w takich miejscach, gdzie
pisma peryodyczne, gdzie zdrowa umnicza kry-
tyka bardzo rzadko albo wcale nie dochodzą.
Jest to choroba rodowa, nasza własna i pierwszy
początek bierze z odrazy do czytania książek
czysto naukowych, nie rzadko z odrazy do
literatury zagranicznej (nie mówię tutaj o śmie-
ciach literackich ale o pisarzach genialnych).
Przed pojawieniem się romantyczności litewskiego
wieszcza była epidemiczną po całej niemal Sło-
wiańszczyźnie; — cierpieniom tym uległo wielu
słynnych w kraju naszym mężów; dzisiaj czepia
się tych tylko jeszcze, którzy nowych wyobra-
żeń ani przyjąć ani pojąć nie chcą. Jeżeli
chory długo bez pomocy lekarskiej zostaje,
literackie młodości zmieniają się w rymowe za-
twardzenie wątroby, *casus incurabilis*, w chorobę,
z literackim skirem blisko graniczącą.

Ledwo że mnie p. X... N... opuścił, ledwo

żem świeżą fajeczkę zaniecił, wbiegł, o pozwo-
lenie nie pytając Pawełka, cichutenko, na pal-
cach, w ciągłych ukłonach, młodzieniec cudnej
urody, z jasnopłowym, niedbale po czole roz-
chwianym włosom, ze spojrzeniem tak czułym,
tak tkliwym, tak rzewnym, tak melancholicznym,
iż rozumiałem, że błdziuchno-niebieskie oczy
tego panicza raczej dziewczycy nie zaś mężczy-
zny są własnością; i gdyby nie krawatka *à la*
Taglioni, gdyby nie kamizelka *à l'Espartero*,
gdyby nie rajtrok *à la Pagliasso* (*Bajazzo*), gdy-
by nie brzęczące u chińskiego obowią ostrogi,
w zakład-bym był poszedł, że los życzliwy
nadobne lwiatko do mego wprowadza uchronia.
Lecz jeżeli powierzchowność była wydmucha-
nym odbiciem pieszczonego dziewczęcia, jeżeli
głosik łagodnością zachwycił, Niemniej treść
mowy do łez wzruszała.

— Przebacz, panie! że nie znający, nie zna-
ny, pomocy tutaj szukać przychodzę; — wszak-
żeż rozgłos dobroci serca wim. pana dobro-
dzieja....

— Panie dobrodzieju!....

— Jestem literat — o! stokroć więcej ani-
żeli literat — wstydzę się pomyłki — jestem pie-
wcą! jestem poetą!.... Ale czarna gwiazda mo-
jego przeznaczenia, która nad moję zajrzała
kolebkę, zaciemniła i drogę młodzieńczego ży-
wota i ściga mnie wszędzie i zawsze. Od lat dwóch
jestem skończonym poetą; moje utwory zakwi-

tły na najtkliwszej wyobraźni, obrałem najwdzięczniejszą niwę, splotłem równiankę wyrazów najczulszej miłości! — Ale wróg mojego szczęścia, nieprzyjazny duch mojego jestestwa, sprowadził w mój organizm wielką, nadzwyczajną, niewysłowioną rozkosz, słodycz i przyjemność, która innym a osobiście memu stryjowi chorobą się wydaje.

— Boże cię broń, kawalerze!

— O! to nie jest; ja się zupełnie pod sąd wm. pana dobrodzieja oddaję. — Strzyżek gwałtem nastaje, abym się nie zajmował wierszami, i twierdzi, że z nich w większą chorobę popaść mogę, że to jest moją zgubą. — Mama w wielkiej ztąd niespokojności żąda, abym od wm. pana dobrodzieja przyniósł świadectwo, że mi robienie wierszy wcale nie szkodzi, że bez uszczerbku zdrowia poezji poświęcić się mogę.

— Mój miły kawalerze! powiedz mi, proszę, jaka cię to przyjemność napada przy robieniu wierszy?

— Oto tak, mości dobrodzieju! przy zamkniętych drzwiach, przy zasłoniętych oknach, sam na sam spisuję końcówki najpiękniejsze, potem dorabiam wiersze, i wystaw sobie pan dobrodziej, co to jest talent! Wyborne z tego robią się poemata.

— Doprawdy?

— Tak jest, słowo daję. Po ukończeniu

zwykle taki poemat odczytuję sobie. Świat mi z oczu znika a ja wpadam w jakąś lubość, przyjemność, rozkosz.

— Czy to nie mdłości czasami?

— Wprawdzie zawsze mi wtenczas tak mdło, tak słodko, jak gdyby mnie kto miodem przesylił; — boć też pan wiesz najlepiej, że poezya jest słodsza od miodu; — to mnie jednak najbardziej gniewa, że, kiedy moje poezye innym czytam, nic tego nie czują. — Ludzie są kamieniami! Mało znajomi słuchają jakoby przez grzeczność, przyjaciele uchodzą do przyległych pokoi a krewni dokończyć nawet nie dadzą. Ostatni wypadek najbardziej mnie zmartwił; racz tylko pan dobrodziej posłuchać łaskawie. Napisałem fantazyjną odę pod tytułem: „Miłość Aniołków“, gdzie wystawiłem, jak jeden mały aniołek płci żeńskiej kochał się w 24 aniołkach płci męskiej. Naturalnie tkliwość w takim zgromadzeniu wielka. Odę tę jako na surpryzę mamie czytałem w dzień jej imienin wśród gości, których się mnóstwo zebrało. Cóż pan powiesz? — Deklamacya była wyborna; ja z uczucia i z najżywszej rozkoszy wpadłem jakoby w małe omdlenie, a obecni — nie! — nie powiem panu dobrodziejowi, bo mi to bardzo przykro, że są tacy ludzie dzicy, zbójcy własnego serca, na których nawet te wiersze żadnego nie zrobiły wrażenia.

„Serce żyje dla serca, w sercu bije serce!
Dwadzieścia pięć serc w jednej gorącej iskierce,
I w tę iskierkę miłość bezustannie dmucha,
I ten serc związek ogniem nadzwyczajnym bucha.“

— Wybornie, wybornie! — gdzież, kawalerze, do szkół chodziłeś?

— Pierwotnie uczyłem się z moimi siostrami przy guwernantce przez lat 4, bo mama długo nie mogła się z tą myślą oswoić, iżby mnie w obce powierzyć miała ręce; wszakżeż później na powtarzane żądania stryja oddano mnie do Warszawy; ale że mama obawiała się, abym się wśród szkolnej młodzieży nie zepsuł, brałem więc tylko prywatne lekcye śpiewu, muzyki, tańca, historii naturalnej, rysunków, konnej jazdy i przedewszystkiem konwersacyi w języku francuzkim.

— Więc kawaler nie był nigdy w gimnazyum?

— Złożyłem egzamin do trzeciej klasy, jednakże dla słabości zdrowia do gimnazyum nie uczęszczałem.

— W której epoce nabrał kawaler natchnienia do poezyi?

— Ja już przy guwernantce pisywałem wiersze, które moje mamę do łez pobudzały. Stryj tylko, człowiek stary i zrzędny, nazywał to niedorzecznością i stratą drogiego czasu. Następnie biorąc lekcye u pana Gammé, tłumaczyłem wiersze francuzkie zaraz na polskie i pod jego to kierunkiem wykształciłem się właściwie na poetę....

— Poezye kawalera są już drukowane?

— Niektóre — a wszystkie o miłości, bo ja zawsze o miłości piszę; lecz najmocniej pana dobrodzieja proszę, daj mi na to sposób, ażeby ci, którym ja moje utwory czytywać będę, równie ze mną wpadli w rozkosz, w omdlenie!...

— Ja sądzę, że lepiej będzie, jeżeli ty sam, kawalerze, pozbędziesz się tych mdłości a przynajmniej, abys ich w takim nie miewał stopniu, który strachem przejmuje mamę i gniewa stryja.

— I to dobrze; czy mi pan jaką receptę zapiszesz?

— Tak jest!

Wziąłem więc papieru ze złotym brzegiem i do matki miłosnego poety napisałem:

Jaśnie Wielmożna Pani!

Syn j. w. pani cierpi mdłości literackie. Słabość ta dotąd nie ma nic niebezpiecznego, należy tylko młodzieńca baczniej prowadzić i robić, co tu przepisuję:

1) natychmiast jego wszystkie wiersze bez wyjątku spalić;

2) książki z poezją jakiegokolwiek rodzaju odebrać i starannie przed nim schować;

3) winien pobierać każdodziennie dwie godziny matematyki;

4) po kilku miesiącach rozpocząć z nim lekcye administracyi i prawa; która z nich mniej

go nudzić będzie, téj niechaj się całkiem poświęci;

5) poddawać mu do czytania dzieła prozą pisane, których nie urojenie ale rzeczywistość i rozsądek są charakterystyką, — a osobliwie dzieła historyczne;

6) gdyby bardzo tęsknił za wierszami, pozwolić mu je robić ale bez końcówek.

Po sześciu miesiącach, jeżeli powyższe środki skutkować nie będą, proszę mi przysłać pacyenta.

List ten zapieczętowany powierzyłem młodzieńcowi przy zaręczeniu, że zawiera żądane świadectwo zdrowia. Nie domyślając się sprzeczných swéj woli lekarstw, podziękował uradowany i pięć czątych na stole położył. — Zwróciłem pieniądze, upewniwszy go, że ja słabości literackie zawsze darmo leczę.

— Więc przynajmniej pozwolisz, panie, że na cześć twoję odę napiszę!

— Bardzo dobrze, skoro tylko mama i stryj na to zezwolić raczą, — odrzekłem i pożegnałem młodzieńca.

Szczęśliwy, że się pozbył kawalera z poetycznymi mdłościami, odrywam się od wszelkich chorób i w świat zdrowy puszczam cugle mojej wyobraźni, marzę spokojnie i tak wielka cichość otoczyła moje mieszkanie, że brzęk komara jak gdyby trąbkę kawalerzysty słyszeć było można; — wtém drzwi trzasnęły, ode-

pchnięty od nich Pawelek upadł jak długi a straszliwie groźne wyrazy nagle nad moją uchem zabrzmiały.

— Ha! barbarzyńco! ha! człowieku bez sumienia! złapałam cię przecież! Więc to wpan o mdłościach piszesz i z moich dzieł a nawet z mojej osoby wzorki sobie wybierasz, abyś niemi śmieszków bawił? — Więc i ja na mdłości choruję? — Bo się tak wpanu podobało i tak wpanu potrzeba. — O! nie ukrył się ten projekcik, wiem o nim od moich przyjaciółek, wiem wszystko, wiem najdrobniejsze wpana zamiary, wiem, co w twojej głowie....

— Mościa dobrodziejko! rozumiem....

— Co wpan rozumiesz? nic nie rozumiesz! nie wolno ci rozumieć! bo dzięki postępowi czasu znikł feudalizm sądu. Mam własne zdanie o moich pracach i cudzego nie potrzebuję ani mu też nie wierzę. Nie wiele potrzeba rozumu, ażeby odgadnąć, jakie będą rady wpana na mdłości, któreś w Bibliotece zapowiedział, rozgłosił, rozkrzyczał. Czy pan myślisz, że ja pozwolę, abyś mój honor literacki nicował i szarpał?

Oniemiałem, patrząc na okazałą postać niemłodej już kobiety, która w zwichrzonym ubiorze, w wielkim, w tył opadłym kapeluszu, z pałającym wzrokiem, jednym tchem prawie tę całą rozmowę wyzionęła. Widząc, że się co-

kolwiek zakrztusiła i że będzie nieco czasu przemówić, odezwałem się najgrzeczniej:

— Pozwól, pani!....

— Co? ja mam pozwolić, ażebyś wpan wydierał mi moję zasłużoną reputacyą.... o! nie, z tego nic nie będzie! Przeciwnie, ja wcale nie pozwałam!....

— Ale....

— Co za ale! żadne ale! Moje pisma są bez ale! wpan obłądniałeś ze swoim ale. — Czytałeś je przynajmniej po kilka razy? A więc dobrze.... Mój pierwszy romans p. t. „Mały beksa“ powiedz, powiedz śmiało, zły czy dobry?

— Zaiste nie wiem....

— O Boże! on nie wie!.... serce mi pęka! nie wie! Bo wpan nic nie wiesz, a co wiesz, to wszystko czarno. — Patrzenie! takie dzieło nie przemówiło do jego duszy. Mniejsza o to; lecz jeżeli masz Boga w sercu, powiedz, jak ci się podoba moja druga powieść historyczna, czysto historyczna, pod tytułem: „Heloiza i Sułtan“ w rok później drukowana; powiedz, zła czy dobra?....

— Byłoby nieprzyzwoitością....

— Jak? co? nieprzyzwoitością! Zabijasz mnie, okrutniku! piersi moje boleścią przeszywasz! Więc nieprzyzwoita dla tego, że Heloiza poznała Sułtana!.... O uprzedzenie!.... dobrze,

więc dobrze! Za to mów mi otwarcie, czyli moje ostatnie dziełko: „Trębacz i Pasterka“ nie jest arcytworem poezyi?

— Wyznaję, że niedorzeczność....

— Niedorzeczność! ratujcie mnie! ratujcie! — i szanowna literatka legła zemdlona na moje ręce.... Ciągnę na sofę, trzeźwię wodą kolońską, octem, tabaką; mdłości i mdłości, nic nie pomaga. W największej trwodze, dzięki Bogu! myśl szczęśliwa zabłysła; rzuciłem się na kolana i w lewe ucho z całego gardła krzyknąłem:

— Pani dobrodziejko! pani dobrodziejko! pani nie raczyłaś mnie zrozumieć, pani mi mówić nie dozwoliłaś! Ja chciałem powiedzieć, co czuję, o czém przekonany jestem, że Mały Beksa przesliczny, że Heloiza i Sułtan doskonały, historyczny i cudowny utwór, że Trębacz jest ozdobą literatury. Słyszysz, — pani, wszystko przetłumaczone na język francuzki, niemiecki, angielski. — Ja jutro, z pewnością jutro umieszczę w Kuryerze z moim własnym podpisem pochwalny rozbiór wszystkich dzieł pani.

Na te wyrazy, jakby ręką kto odjął, ustały natychmiast mdłości a literatka, podnosząc się lekko i śmiało i poprawiając ubiór, z przyjemnym wejrzeniem a z miłym jeszcze uśmie-

chem wśród licznych ukłonów i dygów słodutkim wyrzekła głosem:

— Ah! szanowny mości dobrodzieju! po tysiąc razy przepraszam.... To moich przyjaciółek robotka, — to ich ploteczka, którym ja w żaden sposób nie wierzyłam. Przyjm wpan dobrodziej zapewnienie mojego szacunku i najwyższego uczucia, jakie dla jego osoby i dzieł znakomitych powzięłam, dzieląc tylko sympatyą, a jaką publiczność i najświatlejsi mężowie dla niego mają....

— Mościa dobrodziejko! pani zdolności są znane a ja uważam tę chwilę za najprzyjemniejszą w życiu mojem, bo znalazłem sposobność zbliżenia się do tak wysoce cenionej osoby....

— Jak to dobroć ludzi jednoczy....

Nie będę Cię, szanowny panie Redaktorze, dłużej nudził; dodam więc tylko, że zostałem zaszczycony zapytaniem: kto mnie rodzi? — że jutro proszony jestem na familijny obiad, przy którym po spełnieniu kieliszka starego wina mamy się dopiero ostatecznie naradzić, jak rzeczoną przyobiecana recenzją zredagować i w których gazetach pozamieszczać.

Zamilczeć nie mogę, że po odjeździe najszanowniejszej literatki przybyło jeszcze nieobliczone mnóstwo słabowitych; — alem wczasu do innego zamknął się pokoju, a Pa-

welek, którego przytomności umysłu dosyć pochwalić nie mogę, tłoczącym się gościom powiedział, że do Ryczywoła wyjechał.

Nazwiesz mnie, panie, Machabeuszem, jeżeli w życiu mojem z kimkolwiek o mdłościach pomówię, jeżeli jedną literkę o mdłościach napiszę.

Z rzetelnym poważaniem i t. d.

ŚRODEK

ZAKOŃCZENIE, POZĄTEK; ŚRODEK

I

MALEŃKI DODATEK.

ŚRODEK, ZAKOŃCZENIE, POCZĄTEK; ŚRODEK I MALEŃKI DODATEK.

Rzecz dzieje się w Jagnięcój Woli, we Florencyi i w Angielskim hotelu przy ulicy Wierzbowej w Warszawie.

Szkic zostający w otwartej nieprzyjaźni z rzeczywistością a z bujną wyobraźnią mocno spokrewniony; rzucony na papier w chwilach tkliwój zadumy.

~~~~~  
W marzeniach serca naszego częstokroć  
za granice rzeczywistości schodzimy.

Wyjątek z łysój głowy chirurga.

## ŚRODEK.

W szlacheckiej wiosce Jagnięca Wola pomiędzy dwudziestu gospodarzami był najzasiadniejszym Józef Kapusta; siedział bowiem na kmiecój roli, miał 4 konie, 3 pary wołów, wysiewał 15 korcy oziminy i robił do dworu 12 dni w tydzień, dla tego też trzymał dwóch parobków, dwie dziewczki i dwóch średniaków. Z czworga dzieci utracił jednego syna na woj-

nie, drugiego posyłał do szkoły i wy kierował go na księdza, trzeciego sposobił na pracownego kmiecia a jedyną córeczkę Marychnę, na całą okolicę najraźniejszą i najkraśniejszą dziewczynę, jak oka w głowie doma strzegł i dzień dnia albo ją sam do organisty na naukę czytania prowadzał albo też z matką posyłał.

Marychna była gibka jak trzcina, biała jak lilia, na buziaku istic róża a z czarnych oczu jeno się iskry sypały, i jój piękności żadna kobieta we wsi przygany nie dała a parobcy, chociaż mówili, że ma za drobne ręce do roboty, to przecież ani jednego nie było, któryby nie miał żądania pojąć Marychnę za żonę; a i dworscy ludzie i organista smalili do dziewczęcia cholewy, sam nawet pan ekonom, który w Jagnięcój Woli panował, nie ukrywał się z tém, że mu się statecznie podobała Marychna. Gadali po wsi, że Józef Kapusta wykopał w lesie pieniądze, że widziano, jak razu jednego dwie niecki zapleśniałych talarów na słońcu wysuszał i że prócz tego ma kupę złotych pieniędzy; — ale to wszystko było bajką, bo cała gotowizna Kapusty składała się rzeczywiście tylko z 300 złp., które chował na wesele Marychny. Przedziwa, szmat rozmaitych, żywego dobytku jako to: żrebców, jałoszek, owiec, ba nawet i pszczoł, było w dobrej mierze; ale pieniędzy Kapusta sprawiedliwie nie miał więcej jak te 300 złp., gdyż wizerunku

Chrystusa, w bursztynie wyrobionego, rękojeści od pałasza, który osobiście zdobył na hiszpańskim jenerale, i krzyża na niebieskiej wstążeczce, — jakkolwiek były to niezmierne dla Józefa bogactwa, — do gotówki brzęczącej nie można było policzyć. Czystość domostwa i cała gospodarka Józefa była na osobliwszy przykład w uściech wszystkich ludzi ze wsi, a i to jeszcze zwiększało poszanowanie Kapusty, że z wszelką kłótnią, jaka się we wsi przytrafiła, od lat wielu chodzili ludzie kwoli rozsądzenia nie do dworu, nie do pana podsędka, ale zawsze do Józefa Kapusty. Tak tedy zacny kmieć zażywał szczęścia i dziękował Bogu za wszystko dobre, — kiedy razu pewnego strugając na podwórku zęby do brony, usłyszał przy wrotach ujadanie psa Kruczka a i zaraz spostrzegł przed sobą nieznanego mu wcale parobka.

— Niech będzie pochwalony!...

— Na wieki wieków.

— A do kogoż?

— Do gospodarza Józefa Kapusty.

— A cóż mi powiecie?

— Chciołem od was usłyszeć, czybyście mnie nie przyjęli na służbę?.....

— A zkądżeś to, chłopcze?.....

— Jo z tamtęj strony Wisły, z Królewszczyny.

— I cóż cię tu w nasze strony przyгнаło?

— U nas smutno pomiędzy lasami, latoś

i głód; mój gospodarz zmarł na środo-pust, od ś. Wojciecha obsadzili nowego, bo gdowa nie mogli sobie dać rady; — więc jo poszedł tutaj szukać innéj służby; właśnie na wiosnę tędy po żelazo do fabryki jeżdżąc widziałem Jagnięcą Wolę i udała mi się wasza okolica, a że u was pono nowiejsze gospodarstwo, więc się i do was przepytałem, bo mi i ludzie do was raili w tamtéj ejno wiosce.

— Jakżeż ci na imię?...

— Jantek Kozik.

— A umiesz ty dobrze orać, — potrafisz kosać?...

— Jo jesce nie wiele orywał ani tes z kosą nie chodził.

— Takeś wyrosł a roboty nie umiesz? To chyba ci iść do dworu na fornala.

— Nie chcę jo za fornala, bo mnie właśnie trzeba na wsi służyć, żebym się wszelkiej roboty nauczył i wolę u was służyć ze stawy niżeli we dworze za nadroższe myto.

— To ze stawy będziesz służył, a któż ci da przyodziewek?

— Mnie sukman wystarczy na kilka roków, a i mom gotówką 100 talarów po stryju, co byli młynarzem; mnie tam pieniędzy nie żadna nagłość.

— Dobry z ciebie człek, kiedy, mając sto talarów, pracy nauczyć się chcesz. Jeżeli więc okazujesz wolę u mnie służyć, to cię, Antku,

i wezmę; ale czy tylko masz kunotatkę od waszego wójta?

— Mom pozwolenstwo na stęplowym papierze.

— A kiedy tak to i zgoda; a jak będziesz ręką nie lenił a poduczysz się roboty, najdzie się i zapłata; bo chociaż, chłopaku, masz sto talarów, jednakże ja nie pragnę, abyś mi darmo pracował.

— O tém potém, panie gospodarzu; teraz pokazać mi tylko, jaka jest u was robota.

— Odpocznij sobie do jutra, boś przecie kilka mil zeszedł a i trza ci się w ludziach i we wsi rozpatrzeć. Idźno do izby i powiedz gospodyni, żeby mi dała okrycie; zaprowadzę cię do sołtysa i do pana gminnego a potém poczęstuję cię, Antku, półkwatkiem, byś przecie nie mówił, żeśmy cię wodą ze studni do domu przyjęli.

W południe wrócił z Antkiem Kapusta do swojego domu i, zapowiedziawszy kobiecie, że Antek w służbie u nich zostanie, kazał mu usieść z inną czeladzią do spólnéj miski; a był na ten dzień galante groch z pęczakiem i szperką i grycane klóski z kwaśném mlekiem i zdarny razowiec ze świeżego bochna.

— A cóż to, Antoni! że tak mało jadłeś, — ozwała się gospodyni Agnieszka, — nie smakowałyżby ci nasze sandomirskie klóski?...

— Kaj tam nie mają smakować! Tylko że

jo jus takiěj natury, że nie wiele jodam, i proszę was, gospodyni, abyście na mnie nie zważali.]

— Trudno nie zważać, kiedy mój Maryś więćej od ciebie zjadła, a to przecie dziewucha nie chłopiec, a tyżes jeszcze kilka mil dzisiaj ubieżał.

— Nie turbujta się o mnie, jus jo z głodu nie zamrę.

— Niech Pan Bóg i Przenajświętsza Matka bronią, żeby kto miał u nas z głodu zamrzeć. Maryś, schowajżeż dla Antka tych klósek, może się z niemi przed wieczorem pogodzi.

---

Zdziwił się nazajutrz Kapusta, gdy Antka do cepy postawił a chłopiec nawet snopka nasadzić nie umiał, i jak zaczął cepami onacznie machać, tak się téż chudziaczek i bijokiem za ucho uderzył i krwią zalany upadł na ziemię; a że był mocno skaleczony, więc go aż trza było do chałupy zanieść i zrobić koło niego opatrzenie.

— Jak żyw jestem na świecie — mówił Wach parobek, — tak jesce nie widziałem, żeby taki człek jak Jantek, na wsi wyrosły, do tyła cepy w rękę wiaść nie umiał; a toć-że mu chyba pierwszy raz młócić.

— Znać go do cepy nie używali, — od-

rzekł Wojtek, a gospodarz Kapusta kiwnął głową i powiedział, że i on, jak ze żołnierki powrócił, trzy razy jednego dnia sierpem się zarzynał.

Ze wszystkich najwięćej była osnuconą Marychna, bo, przykładając Antkowi na ranę szmatkę z octem, słyszała, że mu aż serce z bólu pukało.

Upłynęły dwa tygodnie, Jantek już z izby wychodził i przyszło li do tego, że mu kazali sieczki dla koni urnąć; — ale czy kto zły urok rzucił na Jantka, czy pan Bóg zesłał na chłopca skaranie, dosyć że ledwo sieczkę rznąć zaczął, zaraz sobie rękę srodze okaleczył, bo bez mała dwóch palców nie stracił.

GOSPODARZ.

A jużetěz w nieszczęśliwą godzinę do naszěj wsi przyszedłes. Jantku, ty chyba przez życie żadnėj roboty nie znałes?

GOSPODYNIA.

Olo Boga! lo Boga! cos tesz to za nieszczęście! A kajżeż tam i oczy miałes, na palice kosę zakładać.

GOSPODARZ.

Chyba trza posłać do owczarza; niechaj żywokostu przyniesie, bożes ty, chłopcze, aż do kości zakroił.

MARYSIA, (drząc cała z przerażenia).

Kochany rodzicu, owcarz nie pomoże; czy nie lepiejby było, żebyście posłali po felczera do miasta.

ANTEK.

Przepraszam was, gospodarzu, że wam tyle narobiłem turbacyi; ale, jeżeliście łaskawi, to poślijcie po doktora; ja zapłacę doktorowi i za furmankę.

GOSPODARZ.

Cóż tam masz płacić, mój chłopcze; kiedy ci się u mnie przytrafiło nieszczęście, to już mój kłopot być musi; — naści oto chleba z pa-jęczyną, przyłóż tymczasem, a ty, Marysiu, powiedz Wojtkowi, żeby założył siwego konia i tę karą żrebicę i niechaj duchem jedzie po doktora, tylko okryjesz pstruchą siedzenie.

Marysia pobiegła uskutecznić rozkaz ojca; Wojtek, długo nie bawiąc, założył konie, pojechał i w kilka godzin przywiózł doktora.

Spodziewać się należy, że doktor Jantka opatrzył i że rodzina pocziwego Kapusty szczere o Jantku miała staranie, skutkiem czego w 8 dni po tym drugim przypadku Jantek już większego bólu nie czuł a rany się zwolna goiły, i właśnie siedział przed domostwem i w głębokiem był pogrążony zamysleniu, kiedy, z ogrodu wracając, zapytała go Marychna:

— Może-by już czas świeże dać przywinięcie; czy dzisiaj boli jeszcze?

— Boli ale już nie ręka.

— A cóż cię boli? czy głowa z dawniejszego?

— Marysiu! nie głowa ale serce mnie boli.

— To pewno ze zmartwienia, że cię taka bięda spotkała.

— Usiądź przy mnie, rozmawiaj ze mną, to mnie i serce boleć przestanie.

— Żeć-by moje rozmawianie pomódz ci mogło, to żebym i cały dzień rozmawiała.

— Marysiu! z pewnością pomoże; tylko oto usiądź przy mnie a ja ci opowiem jedną historyjkę.

— I czemuż nie?

Marychna pobliżko usiadła a Antek, patrząc się w modre oczy dziewczęcia, tak prawić począł:

— Z tamtęj strony Wisły jest jeden bogaty panicz.....

— A czy ładny panicz?

— Wystaw sobie, Marysiu, że do mnie podobny...

(Marychna się uśmiechnęła).

— Otóż ten panicz z młodu był chowany w wielkiem mieście i wcale nie znał wiejskiego ludu i dopiero, gdy gdzieś w jakiejś książce wyczytał, że lud nasz jest pocziwy, że go szanować i kochać należy, zapragnął wtedy zbliżka zobaczyć te ręce, z których ciężkie

pracy się żywił, zapragnął żyć pomiędzy ludem, rozpatrzeć się w jego obliczu, zbadać źródło jego przywar i błędów, aby następnie mógł szczęśliwie wpłynąć na polepszenie losu przynajmniej tych rodzin, które pod jego bezpośredniem zwierzchnictwem zostawać będą; — i w tym to celu poszedł pomiędzy lud wiejski, przyjął służbę u jednego z cnotliwych gospodarzy; — ale tam mu się źle powodzi, i do tego jeszcze pokochał śliczną córkę tego gospodarza i teraz wielkiej doznaje przykrości, bo nie wie, czy śliczna dziewczyna jest mu wzajemną, i nawet nie wie, jak sobie począć, aby jęj powiedzieć, że on ją kocha, bo, odślaniając jęj swoją miłość, winienby zaraz wyznać, że nie jest chłopem ale bogatym paniczem, przez co mógłby cały swój zamiar zniweczyć, bo śliczna dziewczyna nie wierzyłaby bogatemu paniczowi. Cóż ty na to powiesz, Marysiu?

— Ja oto naprzód powiem, że was, Antoni, mam za jakiegoś człowieka, co nie jest chłopem, bo chłop takby nie potrafił powiedzieć, jak wyście teraz mówili; a co do waszjej powiastki tom bardzo ciekawa, jak się też zakończy.

— Widzisz, Marysiu, koniec tęg powiastki od ślicznég dziewczyny zależy. — Jakżeż ty, Marysiu, radzisz tęg ślicznég dziewczynie?

— A cóż ja mam radzić; żeby mnie się taki panicz zalecał, tobym mu powiedziała, że

nie nie wskóra, bo dla niego szlachecianki po dworach a nie wiejskie dziewuchy.

— Ale uważaj, Marysiu, że ta śliczna dziewczyna nie wie, że to jest bogaty panicz.

— Kaj tam nie ma wiedzieć; zaraz to inny jest obyczaj u takiego panicza; czy wy, Antoni, myślicie, że, jakżeście tylko do nas przyszli, jam nie poznała, że wy nie ze wsi?

— I za kogoż mnie tedy sądzisz?

— Ja was sądzę, albo ja wiem, za kogo; ja tylko wiem, że wy nie ze wsi, i już dawno mówiłam matuli, aby wam lepszego dawała jedzenia.

— A cóż twoja matka powiedziała na to?...

— Matula poszli do tatuli i opowiedziała to, co ja mówiłam.

— A cóż na to powiedział gospodarz, ojciec twój?...

— Długo nie nie powiedział, tylko mu węg łyzy w oczach stanęły, aż się matula wylękli; i kazał wam dawać jeść, co najlepszego mamy w domu i mówił, żebyśwa nie do nikogo na wsi nie gadali; i tatulo mówili, że zły człek być nie możecie, bo macie czyste spojrzenie; tylko mówili, że, gdybyście kiedy mieli chcieć waszych pieniędzy i sukman, które macie we skrzynce matczynég, aby wam zaraz wydać, nie czekając na tatulę, i żeby wam żadnég nie czynić przeszkody, jakbyście od nas czy na dzień czy w nocy odejść chcieli; — a potem poszli

tatulo do stryjów i cały wieczór radzili kiele stryjowskiego domostwa.

— Dawnoż to temu, Marysiu, jak twój ojciec kazał mi dawać co najlepszejsze jedzenie?

— Będzie chyba już przez jutro tydzień cały.

— I potem więcej nie o mnie nie mówił?

— Nie słyszałam nic więcej; tylko oto wczorajszej nocy, jak karbowy mocno do okna zastukał, tatulo kazali mamuli, aby do was na stodołę chyżo pobiegli; ale jak się karbowy ozwał, że tylko mają dwojgiem posłać do sierpa, to kazali matuli już do was nie chodzić, jeno mówili, że trza nazajutrz Walka i Jagnę ze sierpami posłać.

— Twój ojciec jest bardzo pocziwy człowiek, może mu potrafię wdzięczność moję okazać; — ale teraz powiedz mi, Marysiu, gdybyś ty była na miejscu tamtej ślicznej dziewczyny, co się to do niej przebrany panicz zalecał, czybyś ty go kochała, żeby on ci powiedział, że bez ciebie żyć nie może?

— No pierwój, że ja nie śliczna, a potem bym mu powiedziała, że, choćabym ja go kochała, toby mu się na nic nie przydało, bo ja tylko wiejska dziewczucha.

— Ale żeby on chciał się z tobą ożenić i rodziców twoich prosił o pozwolenie?

— A cóż, czyby rodzice pozwolili, abym ja

szła za mąż za takiego człowieka, co nie umie żadnej roboty?

— Wy-byście nie potrzebowali pracować, bo ten panicz jest bardzo bogaty.

— Tatulo tam nie potrzebują bogatego zięcia.

— Więc on zostanie ubogim, nauczy się wszelkiej roboty; czy będziesz go wtenczas kochała, Marysiu?...

— Przez żywego Boga! cóż wy, Antoni, gadacie, kogo ja mam kochać?

— Mnie, Marysiu, który ciebie pokochałem nad wszystkie bogactwa na ziemi, nad całe życie moje!

— A któż też to słyszał takie powiadanie! A to żebyście wy mnie kochali, to-byście uprosili kogo na swaty,... i z resztą co ja tam gadam. Jeżeli wy, Antoni, jesteście tym bogatym paniczem, to się zlitujcie nademną i nie psujcie mi w głowie; tylko sobie idźcie, zkadżeście przyszli; boć że my wam nie chcieli nic złego uczynić....

— Marysiu, ja sprowadzę swatów, — ja będę prosił twoich rodziców, ty musisz być moją do śmierci!

Marysia zarumieniła się po oczy, zakryła twarz fartuszkem i uciekła do chałupy, a Antek pozostał z sercem czystej miłości i dumał, co mu dalej czynić wypada.

## ZAKOŃCZENIE.

W trzy lata później młoda, cudnej urody jasnowłosa pani pisała przy palisandrowym stoliku w jednym z pałaców Florencyi:

*Najukochański Rodzice!*

Wczoraj odebrałam list pana Osmyckiego, przez was dyktowany, i po tysiąc razy całuję ręce i nogi wasze za tę rodzicielską pamięć o mnie, jaka się w każdym waszym wyrazie maluje. Ja z łaski Boga wraz z moim mężem zdrową jestem, maleńki Tadzio bardzo nam chorował na zęby, lecz niebezpieczeństwo już przeminęło.

Tęsknię do chwili oglądania was, tęsknię do tej ziemi, na której się urodziłam, tęsknię do wszystkiego, co mi przypomina nasze pola i łąki, i będę się zupełnie szczęśliwą mieniła, gdy się znów ujrzę w waszych rodzicielskich objęciach.

Stryjom, księdzu bratu i Walentemu przysyłam najserdeczniejsze pozdrowienie.

Wasza do śmierci przywiązana córka

Florencya, 15 września 184....

*Marysia.*

Zwierzchni napis był następujący:

Do rąk

najukochańskiego ojca mego

JÓZEFA KAPUSTY

przez Wiedeń i Kraków.

w Jagnięcej Woli.

## POCZĄTEK.

W Angielskim hotelu pod Nr. 10 przy ulicy Wierzbowej w Warszawie, dnia 8 maja, roku — co komu do tego — w niebieskim pokoju, przez miejscowego pisarza nazwanym *à la rococco*, na mahoniowej sofce, w perskim tołubku, leżał Antoni.... lat dwudziestu i dwóch i trzech miesięcy młodzieniec, bardzo przystojny i bardzo bogaty, z dobrą sercem, z ukształceniem umysłowym spaczonym ale nie doszczętnie krzywym, znany z dziwactw i z gwałtowności swojego charakteru; — przy stoliku naprzeciw sofki siedział w poręczowym krześle pan Stanisław... trzydziestu sześciu lat mężczyzna, w skromną ubrany czamarkę.

ANTONI.

To jest wszystko marzeniem tylko, ale w życie nigdy nie wejdzie, bo historyzm naszej szlachty jest świetny, a jakimże jest historyzm chłopków?

STANISŁAW.

Ciężka praca, częsta krzywda i ciche łzy.

ANTONI.

Do pracy są stworzeni, a o krzywdzie i o łzach, wierz mi, Stasiu, to jest baśń romantyczna; zresztą pokaż mi chociaż jednego chłopca z wyższym, z szlachetniejszym uczuciem.

STANISŁAW.

Nie wiem, co rozumiesz pod wyrazami „wyższe i szlachetniejsze uczucie;“ nasz lud wiejski jest poczciwy, pracowity i szczerze kocha tę ziemię, na której się urodził; a potrzeba żyć pomiędzy nimi, potrzeba ich zbliżka poznać, aby ich cnoty a więc wyższe i szlachetniejsze uczucia ocenić; — i gdybyś w chacie jednego z poczciwych kmieci twoich kilka miesięcy spędził, załóżę się z tobą o mój cały majątek, że uszanował i ukochałbyś ten lud wiejski, o którym mówisz z taką lekkomyślnością.

[ANTONI.

Wiesz co, Stasiu, o majątek nie mogę się zakładać, bo jestem zbyt pewny wygranej; — ale możemy zrobić zakład o 100 butelek szampana.

STANISŁAW.

Czy nie lepiej o sto czerwonych złotych dla nieszczęśliwych?

ANTONI.

Zgoda! zakładam się o sto dukatów, że będę przez cały miesiąc pomiędzy tym tyle przez ciebie miłowanym i chwalonym ludem a zdania mojego nie zmienię.

STANISŁAW.

Ufam, że zmienionego sądu nie zataisz, i zakład przyjmuję.

ANTONI.

Otóż za tydzień przyjadę do ciebie i w jednej z twoich wiosek przebrany za parobka postaram się o służbę u porządniejszego kmiecia. Wiesz, że to będzie zabawnie; nawet ciekawy jestem tego wrażenia, jakie na mnie uczyni obcowanie z tymi ludźmi.

STANISŁAW.

Trzymam cię za słowo i naprzód się cieszę z wygranej.

Dalszą rozmowę przerwał lokaj, przynosząc bilet na krzesło do Rozmaitości; Antoni podniósł się z leżenia i kazał fryzjera zawołać. Stanisław poszedł do jednego ze swoich szkolnych przyjaciół, do Gucia, aby mu uczyniony co dopiero zakład opowiedzieć.

## ŚRODEK.

Noc ciepła, czerwcową, wonią kwiatów zappełniała powietrze; spokojna przyroda zdawała się z Bogiem rozmawiać i tylko oddalony turkot młyńskiego koła uroczystą mieszał ciszę, gdy Antoni, mniemany parobek z Jagnięcej Woli, już od godziny opodal wioski stojąc pod krzyżem na rozstajnych drogach, przy świetle

księżycą wpatrywał się w wizerunek Chrystusa Pana i wspominał ową treść zakonu: „*Kochaj bliźniego twego jak siebie samego*,” i przywiódł sobie na pamięć, ile to milionów ludzi codziennie te święte powtarza wyrazy i jak wszystkie sprawy ziemskie są w zupełnej sprzeczności z powtarzaniem tych świętych wyrazów; i dusza jego, przenikniona promieniem Boskiej mądrości, uroczystą złożyła przysięgę, że nie tylko słowy ale czynem, całym życiem swoim, będzie kochał bliźniego swego jak siebie samego, że umiłuje lud pracowity, że się z nim najściślej w węzłami zjednoczy. W tę chwilę przyleciał po rosie cichy odgłos biegnącego konia i nie zadługo Stanisław na karym wierzchowcu stanął przed czekającym na niego Antonim. Zeskoczył jeździec na ziemię i dwaj przyjaciele uścisnęli się serdecznie.

— A cóż, kochany parobku, jakżeż ci się powodzi? Wygrana z naszego zakładu ku której kieruje się stronie?

— Obydwaj wygraliśmy najzupełniej; ty 100 cz. zł. dla nieszczęśliwych, ja serce pięknej dziewczyny.

— Jakięj dziewczyny?

— Córkę mojego gospodarza, Józefa Kapusty.

Stanisław nagle rękę swoją z rąk Antoniego usunął i wyrzekł z osmuceniem:

— Nie spodziewałem się, abys moje poczi-

we przedsięwzięcie występłą lekkomyślnością splamili zechciał!

— Więc pojąć za żonę cnotliwą córkę pocziwego człowieka występłą lekkomyślnością nazywasz?

— Antoni! ty marzysz....

— A ty mojego serca nigdy nie znałeś.

— Miałbyś zerwać więzy przesądów i ślepoty?

— Już zerwałem. Przed chwilą dobrowolną Bogu złożyłem przysięgę, że kochać będę bliźniego jak siebie samego, że lud pracowity całym sercem umiłuje, że się z tym ludem najściślej w węzłami połączę.

— Antoni!....

Z tym wyrazem rzucił się Stanisław na piersi przyjaciela i łza uwielbienia po mężkiem spłynęła licu.

— Ale ja ciebie proszę na swaty.

— Całą duszą moją jestem na twoje rozkazy.

— Ale zaraz jutro, albowiem syn sołtysa z Jagodny, już osiadły i zamożny gospodarz, pojutrze swoich swatów przysyła.

— Czy mu sprzyja Marysia?

— Przeciwnie, wraz z swoim ojcem czują wstręt do niego, i wiesz z jak szlachetnej pobudki? Oto słyszała, że niegdyś ukrywał się przed poborem wojskowym, oświadczyła więc, że nigdy żoną tchórza nie będzie.

— Więc nie potrzebujesz się obawiać.

— Miłość to tylko moja jest trwożliwą; nadto chciałbym, aby, gdy się pojutrze sołtysiak zgłosi, rodzice Marysi mogli już bez narażenia się na nieprzyjaźń odpowiedzieć, „za późno.“

— Więc jutro, jutro z pewnością przyjadę.

— Przez całe życie w mém sercu wdzięczność dla ciebie zachowam.

— Antoni! twoim wyborem szczęśliwszy jestem nad wyrażenie. Ale wyjaśnij mnie, czyś wszystkie następstwa dobrze rozważył?

— Dusza i serce tej dziewczyny są przeczyste a więc węgielna podstawa mojego szczęścia jest pewną; rozjaśnienia umysłowego łaskotwo dokonam; niezbędnych wiadomości, kochając mnie, prędko się nauczy; pozostanie może brak świetnej ogłady, ale dla mnie miłsza rdza pocziwego serca nad połysk umiejętnie ukrytej chciwości, obłudy i fałszu.

— Bóg z tobą, drogi Antosiu! jutro o godzinie drugiej z południa przybędę.

— To za rychło; cała rodzina jest przy pracy, wieś będzie bezludną, a ja chcę licznych świadków mojego szczęścia; przybądź więc w godzinę po zachodzie słońca.

— Zgoda i na to, szczęśliwy kochanku.

— Czyliż i ty, mój nauczycielu, nie mógłbyś być równie szczęśliwym kochankiem?

— O! gdyby serce moje pośród wiejskich dziewcząt wybór uczyniło, z jakąż radością uświęciłaby taką miłość dusza moja!

— Przyznaj więc, że uczeń wyprzedził mistrza.

— Przez szczęśliwy przypadek.

— Masz słuszość, drogi Stasiu! Tobie rzeczywiście winien jestem zaród prawdziwie chrześcijańskiej myśli.

Dzień był pogodny, jasny, słońce potokiem upału oblało ziemię; lud wiejski rozproszył się po ogrodach, łąkach i polach, niemowlęta i zgrzybiali tylko starcy pozostali w siole, a z nimi i Jantek Kozik, któremu niezagojona jeszcze rana nie dozwalała do wspólnej pracy należeć. W południe tę jedną miał pociechę, że mu gospodyni Jagniszka pozwoliła zająć dwojaki na odległe łąki pod las, gdzie Maryś z ojcem i z czeladzią około siana robili.

— A cóż, Antoni, — mówił ojciec Marysi, gospodarz Kapusta, gdy pod cieniem drzewa do obiadu zasiedli, — nie wybierasz ty się opuścić naszej wioski, gdzie cię taka przygoda trafiła; może tobie i czas będzie ruszyć w dalsze strony.

— Czy mnie, gospodarzu, chcecie odganiać za to, że wasz chleb przez sześć tygodni na darmo jadał? A toć że ja wam ten ciężar rychle wywdzięczę, a Bóg świadkiem, żeście mnie ciężej dotknąć nie mogli, jak że mnie dzisiaj odpychacie od siebie, dzisiaj, kiedy ja was mam prosić o największą łaskę na świecie.

— Nie wyganiem ja cię, Antoni, ani cię od

siebie odpycham, [tylko tak oto myślałem, że może ci tu u nas dłużej nie miło; i tak jeszcze z innej oto przyczyny mówiłem te słowa, ale nie żebym ci kawałka chleba skąpił; — daje się to, Bóg wie komu, a za cóżbym swojemu człowiekowi ze wsi żałować miał. Ja tylko sobie co innego myślałem; nie miéjże, miły chłopcze, żadnej do mnie żalości, siedź przy nas dopóty, dopóki ci trzeba,] jak [jeno żywnie chcesz.

— Bóg wam zapłać, gospodarzu, tém powiedzeniem osuszyliście łzy mojego serca.

— I o cóż takiego będziesz mnie dzisiaj prosił?... Maryś! idźno z Walkiem i z Jagną i skulnijcie tam wejno tén szmatek siana nad wodą, bo się niby na wiatr zanosí, żeby zaś nie zdmuchnęło na rzekę.

Maryś, rozumiejąc ojcowską wolę, zawołała na Walka i na Jagnę, i wszyscy troje odeszli ku brzegowi rzeki, która gromadzką od dworskiej przedzielała łąki.

— No miły człowieku, bo i nie wiem, jakie ci dać miano, czegoż to chcesz żądać odemnie?

— Ja sam tego powiedzieć nie umiem, — odrzekł zalekniony Jantek, — wstrzymajcie się z dalszém zapytaniem aż do wieczora, może wam kto powie za mnie.

— Hm, ja to już dawno miarkuję; ale przecież ty po to do wsi nie przyszedł, a zresztą jesteś człek wędrowny i nie możesz żądać, abym

ja, nieświadom ciebie, mógł się ku twemu żądaniu skłonić.

— A gdybyście mnie byli dobrze świadom?

— Sercem mojem to ja cię świadom, ale to nie dosyć, trzeba być i we wsi swojakiem.

— Gospodarzu! wam to wszystko opowiedzą wieczorem.

— A niechżeż opowiedzą, posłyszemy, co oni tam opowiedzą. Jestem ja stary żołnierz, nie z jednogom pieca chleb jadał, toć że ja już i trafię do ładu z tém opowiadaniem. — Maryś! Maryś! niby się nie ma na wiatr, pójdźcie skończyć jedzenie, po południu wszystko razem skulniemy.

Powróciła Maryś z Jagną i z Walkiem. Jagna z Walkiem poczęli z dwojaków kapuśniak z klóskami kotłować, aż im klóski w gardle cierkały, tylko Maryś ani łyżki ruszyła, patrząc się to na rodzica, to na Antka, jak gdyby chciała treść ich zamikłej rozmowy odgadnąć.

— Czemuż ty, Marysiu, nie jesz kapuśniaku? Czy, rybeczko, boisz się, żeby ci się gęba nie skurczyła?

— A od czego-by mi się miała skurczyć gęba? Czy mnie pierwszy raz jadać kapuśniak, jeno że dzisiaj nie mam woli do jedzenia.

— A słyszałaś ty, moja dziewucho, jak ksiądz proboszcz z Mylnego, na odpusćcie w Jagodni

mówił na kazaniu, że Ewa za ciekawość z raju wygnana była; i tyż także chcesz być ciekawą?

WALEK (półgębkiem).

— Któroz tes na świecie białogłówka nie była kiedy ciekawa?

JAGNA.

— Także i ty, Walku, będziesz gadać! Wój go jaki mi do gadania.

ANTEK.

— Ciekawość w dobrym zamiarze nie jest błędem, brak ciekawości jest dowodem odrętwienia umysłowego....

Kapusta zmarszczył brwi i oczami wskazał Antoniemu na Walka i na Jagnę. Marysia się zarumieniła, Walek i Jagna rozdziawili gębę, Antoni spostrzegł się w zapomnieniu i, prostując złe, dodał: — To ze takie słowa mówił do mnie jeden szlachcic, kiedy z nim przewoziłem się przez Wisłę, a on mnie pytał, czy jo nieciekawyy, dokąd jedziemy, a ja mu odrzekł, żem nieciekawyy.

— No, no, idź mi teraz, Jantku, na młyn, żeby się z mlewem spieszyli, a ty, Maryś, odniesiesz dwojaki i powiesz matce, żebyście oprzątnęły dom, bo dzisiajszego wieczora mają być ludzie u nas, możecie się i ogarnąć.

Jantek dziękczynnie spojrzał w oczy gospodarza, Jagna spojrzała na Walka, Walek na

Jagnę, a modrooka Marysia spojrzała ku modrym obłokom i dreszcz przebiegł jej serce i z duszy szybką myśl do Boga rzuciła.

JANTEK.

— Czyli, gospodarzu, mam do wieczora na młynie pozostać?

GOSPODARZ.

— Dyc tam Walentowa pilnuje, możesz na zachód słońca powrócić.

Jantek udał się ścieżką przez las, Maryś brózdą szła ku wygonowi, który do wsi prowadził.

„Boże! ach Boże! cóż téż to za człowiek ten Antoni, którego moje serce tak prędcie umiłowało! Chyba go rodzic znać musi, kiedy kazał, abym się z matką ogarnęła i abyśmy dom oprzątnęły“ takie uwagi zajmowały głowę Marysi, kiedy do wsi zdążała, gdy naraz z poza góry Jantek drogę jej zabieżał i za rękę uchwycił.

— A cóż to, tędy droga do młyna?...

— Powiedz mi, którądy droga do twojego serca, Maryo! Dzisiaj moi przyjaciele będą twoich rodziców o twoją rękę dla mnie prosili, — nie prawdaż, Maryo, że jak rodzice zezwolą, ty mi nie odmówisz swą rękę?

— Dla czegoż mnie, Antoni, nazywacie po imieniu świętej? Toć-że ja jestem Marysia a nie Maryą, — i zkadże wam przyszło chcieć mnie za żonę?

— Bo ja ciebie kocham nad moje życie, nad świat cały, kocham cię miłością najwyższą na ziemi, — kochać cię będę do grobu.

— A kto wy taki, co mnie kochacie?

— Twój Antoni, Twój do śmierci wierny Antoni.

— I rodzic wie już to, kto wy taki?...

— Dowie się dziś wieczór i zezwoli z pewnością na nasze połączenie; od Ciebie tylko zależeć będzie, abyś mnie uczyniła najszczęśliwszym z ludzi.

— Ja wam ani krzywa ani wroga nie jestem, i jeśli rodzic będą wiedzieli, co wy za jeden a zezwolą na to, to ja...

Marysia umilkła a Antoni, rzucając się przed nią na kolana, z namiętném uniesieniem zawołał: „dokończ, o dokończ, Marysiu!...”

W tę chwilę ukazała się z poza krzaków stara kobieta z pęczkiem suchych gałęzi na grzbiecie; była to komornica Jędrzejka, na całą Jagnięcą Wolę największa pleciucha, Herod-baba na młode dziewczęta.

— Najświętsze drzewo Krzyża Pańskiego, a cóż jo też to widziała! To tako jest cnotliwość córki Józwowój, że aże przed nią jakiś obleci-świat, co każdemu we wsi jest obcy, wój oto klęczy jak przed cudownym obrazem, a ona mu tego nie zbara ani złego słowa nie rzeknie! O będzie się matuś cieszyli, że taką wychowała córkę, co to jak Magda ze żołnie-

rzami w świat poszła, — albo jak Mateuszowa kobieta; a nie masz-że ty, dziewucho, wstydu w oczach, że jeszcze na mnie patrzysz! A ty wędrowny chłopie, czego się tak na mnie gapisz, jakbyś mnie pożryć chciał. Poczekajta! będą Józwowie zaraz o tém wiedzieli; nie darmo to ludzie mówili, że to z tym wędrownikiem, co żadnej roboty nie umie, dobrze być nie może i że on jeszcze jakie złe na wieś sprowadzi; — a czyże to nie złe, kiedy on przed młodą z naszej wsi dziewczuchą klęczy na polu jak diabeł przed duszą, co ją chce porwać do piekła.

— Milcz, głupia kobieto, bo nie wiesz, co mówisz.

— Ejno głupia, widzisz go drąga! To ja głupia, że idę z gałęziami przez pole i że ich natrafiłam, jak on klęczy i przysięga się na wszystkie biesy, a ona słucha go jak owca i na niego spogląda kiejby jaka grzywaczka na grzywacza, aże jój się oczy zaczerwieniły.

— Milcz, powtarzam ci, sprośna kobieto, albo cię skarcę natychmiast.

— Gwałtu! rety! ratujta ludzie! ratujta, kto Boga ma w sercu ratujta! a toć że ten człowiek zabić mnie chce, gwałtu! ratujta!

MARYSIA.

Przez miłość Boską, Jędrzejowa, nie róbcie mi takiego wstydu! moja miła Jędrzejowa, tylko

nie krzyczcie! Już wam podaruję najnowszą chustę albo waszemu dziewczęciu dam wstążek do włosów....

JĘDRZEJOWA.

— Gwałtu, ratujta! ludzie ratujta! — to ona mi chce dać chustę za to, że jój kochanek zabić mnie chcioł. Gwałtu!

Zniecierpliwiony Antoni przyskoczył i połą od sukmany zatknął Jędrzejki jadaczkę, — gdy ode wsi pokazał się na koniu ekonom z charapem, a posłyszawszy hałas i widząc szamotanie się parobka z kobietą, w galop na miejsce kłótni przyleciał.

EKONOM.

— Cóż to, szelmo! chamie! masz za racją napastować starą kobietę! — tych słów domawiając skropił grubym charapem raz, drugi i trzeci hrabiczą Antoniego.... — przez plecy, przez twarz i przez głowę.

Antoni bez namysłu rzucił się na ekonoma, zwałił go z konia, w jednej chwili wyrwał mu z ręki charapnik i w groźnej stanął postawie.

EKONOM.

— Chamie! szelmo!.... *obracając się ku wsi* — Franciszku! Franciszku! Ignacy! Ignacy! bywaj! bywaj! a bywajżeż zaraz!....

MARYSIA.

— Antoni! jeżeli ci Bóg miły, uciekaj, Antoni! uciekaj, bo on cię zakatuje.

EKONOM.

— Poczekaj i ty czyżyku, — dam ja ci namawiać go do ucieczki; to pewnie was Jędrzejka zesła na jakię....

ANTONI.

— Milcz, potworze, albo ci zęby wybije.

EKONOM.

— Takiś ty to ptaszek?.... — *odwracając się ku biegnącym na pomoc włodarzom*, — Bywaj! bywaj!....

MARYSIA.

— Na rany Zbawiciela Chrystusa zaklinam cię, Antoni, mój ty miły, mój drogi Antoni, uciekaj, dopóki oni nie nadlecą.

ANTONI.

— Maryo! uspokój się, mnie włos z głowy nie spadnie.

EKONOM.

— Ja ci, szelmo, wszystkie kudły ze łba powyrywam; dam ja ci rzucać się na ekonomską osobę.

Nadbiegli włodarze i, na rozkaz ekonoma żylastemi rękoma uchwyciwszy Antoniego za kołnierz, już go powalili na ziemię i kolanami

przygnietli i już ekonomiczny bizun miał mu zebra przeliczyć, — gdy Marysia, rzucając się pomiędzy nich, okropny raz otrzymała przez głowę i krewią zalana straszliwy krzyk wydała. Krew dziewczyny padła na ręce Antoniego. Częstokroć siła rozpaczy wszelką wiarę przechodzi. Antoni, ciężarem dwóch olbrzymich chłopów gnieciony, wrywa się z pod ich kolan i ręką, zrywa się z siłą olbrzyma, w dwie przeciwne strony jak dwie piłki włodarzy rozrzuca i pięścią w pierś ekonoma uderza — i bałownik z jękiem upada na ziemię.

— Takie to więc są wasze sądy i wyroki na lud pracy i nieskażonej cnoty! Zbrodniarzu! jam blizkim krewnym twojego pana, jam jest hrabią, dziedzicem piętnastu włości. Moję krzywdę przebaczam ci najzupełniej, ale za tę krew, którą przelałeś z głowy mojej narzeczonej, kajdanami ręce twoje okuję. — Czy rozumiesz, że włościanin, który urosł pod waszym batogiem, mógłby się do ciebie mową do moich słów podobną odzywać? Czy nigdy z ust twojego pana nie słyszałeś nazwiska hrabiego... ?...

Zębami ze strachu szczękając ekonom, podniósłszy się ze ziemi, stał jak wryty i ani jednego słowa nie mógł przemówić; — Jędrzejka i włodarze zaniemieli także.

— Maryo! droga Maryo! ty przyszła żono moja! czy wielki ból czujesz?....

— Jasnie wielmożny paniczku, o! ja żadnego bólu nie czuję na głowie, — ale tu, tu w środku mnie boli, — i dziewczyna wskazała na serce i rzewnie płakać poczęła.

Prowadzona przez hrabiego Marysia po krótko ujrzała się w objęciach matki, która, przelekniona widokiem zranionej jedynej córki swojej, do Boga tylko o pomoc wołać była zdolną.

Na wieść o tém nadzwyczajném zdarzeniu zbiegła się wieś cała; posłano konnego po ojca Marysi. Pędem strzały stary żołnierz na spienionym siwku przyleciał.

W krótkich wyrazach usłyszał Kapusta z ust Antoniego wszystkie szczegóły objaśniające a dopiero gdy się zapewnił, że rana Marysi niebezpieczną nie jest, tak się do pana hrabiego odezwał:

— Mówisz, panie, że się z córką moją jedyną za naszym rodzicielskiem pozwolenstwem żenić chcesz a nie myślisz, panie, o tém, że twoja jasnie wielmożna krewność nie pozwoli na taki twój, panie, ożenek; a gdybyś, panie, i bez pozwolenstwa krewności chciał pojąć naszą jedyną córkę za żonę, czy, panie, myślisz, żebyś ją szczęśliwą uczynił? A jakżeż-by to być mogło, gdy, panie, twoi krewni wytykaliby ją palcami, że ona jest chłopką; — a moja krew jest znów za dobra, aby ją palcami wytykać mieli; — bo ja jestem w wierze katolickiej tak jak i wy, panowie, zrodzony i wzrosły,

przez całe życie podłego uczynku ani razu nie popełniłem; kiej trza było, poszedłem z drugimi do Włochów, do Hiszpanii i wszędzie, gdzie nasz Napoleon rozkazał a starsi zakomenderowali; — i te trzy rany, które otrzymałem w piersi i przez głowę, to mnie lepiej uszanować każą, aniżelibym miał dać jedyną córkę moję na jakieś pańskie wytykanie palcami.

— Józefie! przyszły teściu mój! przedwiecznego Boga i tych wszystkich obecnych tu ludzi biorę na świadki, że nigdy nie dozwolę, aby żonie mojej krzywda się stać miała, aby ją cokolwiek bezkarnie palcami wytykał. Jagnięca Wola od dzisiaj jeszcze do mnie należeć będzie; jutro sądownie oddam tę całą wieś dla was wszystkich gospodarzy na równy podział własności, bez żadnego czynszu; przydzielę wam lasu, dodam łąk i pastwisk od granicy Jagodnej, z córką waszą zamieszkać o siedm mil tylko, w Sączynie, w dobrach moich....

MATEUSZ GOSPODARZ.

A kaj ja też oczy zadziałem! (*chwytając za kolana hrabiego*). A toć-że pod jasnie wielmożnym panem jest moja siostra, co to jest za Wojtkiem Pietruszką na Mysłowie. O Przenajświętszy Jezu! — Józefie! adyć schwyćcie jasnie wielmożnego pana hrabiego za kolana i kiedy żąda waszój córki za żonę, a dajtażę, dajta! dyc to Sączyn, Kobyle Oko, Mysłów,

Gąbino, Paprochy, Drwalewo, Zęby Wielkie i Zęby Małe, Wilczy Kierz, Sadów i pięć wiossek zarobnych, to wszystko na cztery mile w około do pana hrabiego należy.

JÓZEF KAPUSTA.

— Kumie! gadacie tak, jak rozumiecie; dla Jantka parobka, żeby się roboty nauczył a był pocziwy i Bogu i ludziom usługny, najchętniej dałbym córkę moję, bo, co prawda to nie grzech, dawno zmiarkowałem, że się mają k'sobie; tylko mi w myśli pofolgować nie mogło, że to nie jest człek ze wsi, i oto poprawdzie nie wiedziałem, kto jest taki; ale żeby ja miał teraz łaskomić się na jakowe bogactwa, niech ona lepiej pójdzie za sołtysiaka do Jagodnej, wszakżeż na jutro swaty przyjsć mają.

MARYSIA.

— Ojcowie! ja tam nie chcę sołtysiaka.

MATKA AGNIESZKA.

— A kogożeż będziesz chcieć?...

Marysia, spoglądając ku Antkowi, łzami się zalała.

HRABIA ANTONI.

W imię Boga przysięgam Wam, ojczy i matko Maryi, ja córkę waszą muszę mieć za żonę, albo śmierć moja na waszém ciężć będzie sumieniu.

Kumie! tu żadnej inniej rady nie ma, tylko pokłonić się panu a jasnie wielmożny pan oto niechaj się pokłoni rodzicom swojej przyszlęj żony i zaręczenie zrobimy, boć oględziny i zmo-  
winy niepotrzebne.

Gdy dziedzic Jagnięcej Woli, Stanisław, próg chałupy Józefa Kapusty przestąpił, z tkl-  
wą i rzewną radością przez tłum wiejskiego ludu  
zobaczył, że Józef i Agnieszka łączą ręce kłę-  
zczących przed nimi kochanków, Antoniego  
i Maryi.

### MALEŃKI DODATEK.

Ślub podług kościelnego obrządku odbył  
się w dniu drugim sierpnia tegoż samego roku;  
weselisko, jakiego nikaj nie widziano, trwało  
u Kapustów przez cały tydzień; potarzyn u stry-  
jów Marysi było jeszcze trzy dni; na przenosi-  
nach w Sączyńie tożę już i piętów do tańco-  
wania nie starczyło dziewczuchom; szlachcianek  
jedno nie było, bo się pono ogniście sierdziły,  
że im takiego bogatego kawalera wój oto wiej-  
ska dziewczucha wzięła z przed nosa; — *cóż kie-  
dy piękniejszej jak Marysia Kapusty nikt nigdy  
przez życie nie widział*, i już taką dla niej dołę  
dał Ojciec Niebieski, za co niech mu będzie

chwała, bo i jo podjadłem na tém weselu; a ina-  
pitku nikt nie żałował, a i okoliczni biedni  
ludziska mieli nie tylko długiego czasu ochotę  
ale i otrzymali od pana hrabiego wielką zapo-  
mogę, nie rzeknąc gospodarzy z Jagnięcej Woli,  
bo z nich każdemu, jeszcze przed ślubem Ma-  
rysi wydzielił *jomentra* po sto morgów ziemi  
co nolepszęj.

— A cóż się téż stało z ekonomem?...

— Dali mu sto talarów i dwie krowy i wy-  
gnali do miasta. Pono poganin na spółkę z Her-  
szkiem szynkuje, kiele kołodzieja Żurawy, za-  
roz za cyrulikiem naprzeciw Bernardyńskiego  
kościółka, dyć w Pinkusowém domostwie, co je  
to łońskiego roku Kiermazińskiemu ze sądu  
sprzedali.

— A Jędrzejka jest jeszcze w Jagnięcej Woli?..

— A kaj ma być?.... Maryś uprosili, że gdo-  
wie przydzielił *jomentra* kawał ogroda, — boć  
że Maryś na nikim nie pomstuje i chciałaby ka-  
żdemu nieba przyczynić.

Niechżeż jój téż Ojciec Niebieski wszystkiém  
dobrém nagrodzi.

chwala, bo i ja podjadłem na ten wesele; a i na-  
bitko nie było, a i okoliczni biedni  
ludziska mieli nie tylko długiego czasu ochoty  
ale i otrzymali od pana hrabiego wielką zapo-  
mogę, nie tracąc gospodarzy z Jasnicy Woli.  
bo z nich każdego, jeszcze przed słuchem Ma-  
rysi wywieziono po sto morgów ziemi  
co należało.

— A cóż się też stało z ekonomem?  
— Dał mu sto talarów i dwie krowy i wy-  
jechał do miasta. Pono pogani na spójkę z Her-  
szkiem szli, wiele kołobzień, Żuraw, za-  
tem za dyktantem naprzeciw Bernardynskiego  
kościola, dyk w Pinkusowem domostwie, co je  
to łonskiego roku Kiermaszkiem ze sobą  
sprowadził.

— A Jędrasiek jest jeszcze w Jasnicy Woli?  
— A kaj ma być? Maryś uprosił, że gdo-  
wie przywiezie, jawnie kawał ogrodu, — doc-  
ze Maryś na nikim nie potrafi i chciały ka-  
żdomu nieba przysięgnąć. Niechże jej też Ojciec Niebieski wszystkim  
dobrem nagrodzi.

## GILSOMINA I REMIGIUSZ,

WIERZYTELNY ODPIS Z ORYGINALNYCH LISTÓW.

## GILSOMINA I REMIGIUSZ,

WIERZYTELNY ODPIS Z ORYGINALNYCH LISTÓW.

*Czcigodny i najszanowniejszy Auguście!*

Od siedmiu miesięcy nie zgłaszałem się do Ciebie, bom się obawiał twojej nagany, twoich zarzutów; dzisiaj, u wrót wieczności, odzywam się do twojego serca; — na twojem łonie złożę całe brzemie najokropniejszych cierpień, wyleję zdroje czarnej rozpacz i, zanim stargam słabą ziemskiego żywota nie, od Ciebie jeszcze pomocy zażądam.

Już lekki poszmer jutrzeńki na rozległym błękiecie jasny zapowiada dzień... jam oka nie zmrużył... przedemną narzędzie śmierci... w sercu żrący i palący ogień, w duszy lód, w głowie szum!... Sto razy drżąca ręka ujęła pióro, aby się z Tobą pożegnać... sto razy bezsilna dłoń odrzuciła tę jedyną nad grobem pociechę!...

Auguście! umieram!... samobójczy dotyka mnie cios!... zimne żelazo uderzy w pierś!...

martwe zwłoki obleje krew!... Auguście! ciemne widma jawią się przed memi oczyma... moje jestestwo grobowy otoczył kir... kwiat mojej młodości za chwilę snem wiecznym legnie na mogile wspomnień i nadziei..... Ty jeden możesz mnie przywołać do życia, słuchaj; w jaki sposób, opowiem.

Przed dwoma tygodniami przybyłem do N. z stałym zamiarem porzucenia mych wad i błędów; — postanowiłem gnuśną bezczynność zamienić w życie pracy i pożytku dla dobra ludzkości!

Rozmaite przedsięwzięcia snuły się przez umysł i po dłuższej rozwadze zamierzyłem zostać aptekarzem, bo na tej drodze bezpośredniej, lekarstwami zdawało mi się, że najskuteczniej wpłynę na ulżenie cierpień ludzkości. Przesady urodzenia odrzuciłem z odwagą i począłem czytać botanikę, chemię; — już umiałem rozróżnić kilkadziesiąt roślin, już poznałem, co jest kwasoród, wiadomości moje olbrzymim szły naprzód krokiem, — gdy w dzień świąteczny dla odpoczynku starganym siłom, bez wyraźnego namysłu, udałem się na widowisko sztucznych jeźdźców.

Auguście! nie żądam odemnie wszystkich tajemnic; — powiem Ci jednem słowem: ja bez Gilsominy nie mogę żyć! Ona jest panią moich myśli, mojego uczucia, mojego jestestwa!... i ona chce być moją... moją Gilsominą na zawsze!..

Słodki hymen miał nas zawczoraj nierozzerwanym zespolić węzłem: obszerne pole szczęśliwej przyszłości wyciągało ku nam ramiona, rozkosz wabiła nas swoim tchnieniem, miłość w radosną klasnęła dłoń, powietrze napełniło się dla nas różanym obłokiem nadziei, wszystko, ach wszystko! ach wszystko zwiastowało zbawienie!... kiedy srogi Rangifero zażądał niespodzianie od Gilsominy dwóch tysięcy franków za uczyniony mu zawód i tylko po odebraniu tej sumy na rozwiązanie jej kontraktu i na nasze zaślubienie zezwolić chce. — Moja gotowizna składa się z siedmiuset franków; Gilsomina w nadmiarze swoich uczuć ofiarowała wszystkie swoje kosztowności, ale niestety! pomimo że je ma w upominku od książąt i hrabiów, nie są szczerozłote i zaledwie czterysta franków dostać za nie możemy. Brakuje nam więc dziewięćset franków! Tej sumy od Ciebie, Auguście, żądam! i jeżeli mi jej po upływie piętnastu dni nie przysłesz, — duch mój za zbrodnią samobójstwa na Tobie mścić się, cień mój Ciebie ścigać będzie! Jutro odchodzi poczta, za dni pięć pismo moje w twoich będzie rękach; cztery dni pozostaną dla Ciebie do zgromadzenia żądanej przezemnie sumy, gdybyś jej gotówką w domu nie miał; jeden dzień zostawiam Ci na nieprzewidziane wypadki, pięć dni starczy na odwrotną pocztę, więc piętnastego dnia przed zachodem słońca mógłbym być w posiadaniu

dziewięciuset franków! ślub nasz mógłby chociaż wieczorem jeszcze nastąpić — Gilsomina byłaby żoną Remigiusza! — Remigiusz byłby mężem Gilsominy!

Augście! w twoje ręce złożyłem śmierć i życie dwojga kochanków! — Drzyj! jeżeli zdradzisz moje zaufanie! — Na kolanach Gilsomina i ja razem błagamy Cię w imię naszej miłości — nie rozłączaj nas! nie dozwól, abym krwią moją zbroczył twoje sumienie!

Augście! ja Tobie zwrócę tę nędzną garść złota, zwrócę Ci w najprędszym czasie — każdej chwili kiedy zażadasz, gdyby i jutro i dzisiaj jeszcze, — tylko mnie uratuj od samobójczej śmierci, przed którą lodowacieję z trwogi i rozpacz.

Nie wątpię, że serce twoje zrozumie okropność mojego położenia, że twoja dusza szlachetna pospieszy na ratunek twojego szkolnego przyjaciela, a nim jest szczerze Cię kochający

*Remigiusz.*

dnia 23 sierpnia 1841 r.

P. S. Gilsomina przesyła Ci małe splot włosów swoich, — naszemu wybawcy pozwala je nosić na sercu.

Tynica pod Radomiem 28 sierpnia 1840 r.

*Kochany Remigiuszu!*

Za list twój z dnia 23 — 8 — 40 zapłaciłem dzisiaj, w dniu moich imienin, złp. 8 g. 22.

Zachmurzyłeś mi wesołą chwilę, gdyż szczególnie drażliwy jestem na lada jakie wydatki.

Boleję nad twoim położeniem, — przeczuwam, że bez Gilsominy żyć nie możesz; — poznaje to nawet z jej pięknych włosów, które niepotrzebnie w tak znacznej ilości załączyć raczyłeś, zachowam je na pamiątkę; — ale cóż powiesz na to, że Ci żądanych dziewięciuset franków nie przysyłam!...

Truchleję na samą myśl, że Ciebie dotknie samobójczy cios, — że zwłoki twoje, kochany Remigiuszu, obleje krew!... Lecz nie ma rady! Kiedy Ci tak marnie ginąć potrzeba, gin ośle! — ja Cię ratować nie mam sposobu. Czekam na twojego zapowiedzianego ducha, któren mi zapewne powie, co się też obecnie w piekle nowego stało. Gilsomina gdyby się po twojej śmierci pocieszyć nie mogła, niechaj przyjedzie do Warszawy, — znajdzie i tutaj wielbicieli, bo i naszej stolicy na półgłówkach nie zbywa.

Bywaj zdrow i zawierzaj mi, że się cieszyć będę, gdy się dowiem, żeś nie stchórzył, bo w szkołach jeszcze oskarżaliśmy Cię o lekkie serce i o brak piątej kleпки w głowie.

Twój dobry znajomy

*Au. Wi.*

P. S. Gdybyś raz jeszcze umierać i o takim głupstwie donosić mi chciał, nie zapomnij listu frankować.

Ażeby czytelnika powyższych listów w trwo-  
dze o życie Remigiusza i w niepewności o losie  
kochanków nie zostawiać, upewniam, że Remi-  
giusz zdrow jest i dobrze mu się powodzi; ma  
nawet nadzieję, że zaślubi panią Miętowicz,  
aptekarkę, wdowę, u której od kilku miesięcy  
jest prowizorem. Gilsomina rady mojej usłu-  
chała i w Warszawie zrobiła na młodzieży wielkie  
wrażenie. Obecnie znajduje się w Frankfurcie  
nad Menem.

D. E. F.

DLA PRZENOLETNICH DZIECI.

D. E. F.

DLA PEŁNOLETNICH DZIECI.

Ktokolwiek nie zna pierwszego oddziału moich Ramot i Ramotek Literackich, winien przede wszystkim pierwszy oddział przeczytać, w przeciwnym razie nie tylko że w postępowych pojęciach pozostanie w tyle, ale nadto bynajmniej nie zrozumie tego oto dalszego ciągu Ramotki A. B. C. i będzie tylko błędził w najniezdarniejszych domysłach, zkąd mnie przyszło być absolutnym belzebuba panem?... A chociażbym i tutaj objaśnił, że w karczemce pod Sienicą dnia dwudziestego maja tysiąc ośmset czterdziestego pierwszego roku, o godzinie dwonastej z północy, podejrzanego kota mocą zaklęć podług starych ludzi podania w postać naturalnego diabła a następnie w postać ludzką odczarowałem, nie wieleby pomogło, bo należy znać po szczególe wszystko, jak się stało; potrzeba znać dosłownie użyte przezemnie zaklęcia, aby być przekonanym, że rzeczywiście diabeł w moich

usługach zostawał i zostaje, — czyli potrzeba A. B. C. z uwagą przeczytać, aby można D. E. F. dokładnie pojąć i zrozumieć.

Z najszanowniejszymi czytelnikami I i II tomu rzecz wcale inna; — dla tych postępowych pań i panów przypomnę tylko, że dwudziestego czerwca tysiąc ośmset czterdziestego pierwszego roku Zbrodniewski, unikając szczegółowego sprawozdania o literaturze warszawskiej, zbył mnie jedynie żarcikami, np. mówiąc, że literatura warszawska ma chusteczkę do nosa z nauk przyrodzonych, ale że to taka biedna, mała chusteczka. Otóż więc gniewnie odezwałem się do niego:

— Słuchaj, biesie! lubię ja niekiedy twoje żarty; ale przecież tyle masz diabelskiego oleju w rogatej głowiznie, że mnie w takim przedmiocie, jak jest literatura krajowa, żartami nie zaspokoisz. — Dla czegoż więc jasnej prawdy nie mówisz?... dla czego majaczysz?... Czy chcesz, abym cię święconą wodą ustawicznie kropił?... Czyliż do otwartej szczerości potrzeba cię zawsze srogą męczarnią nakłaniać?...

— Panie dobrodziej! barbarzyństwem tortur serce szlachetne i umysł ukształcony bezwzględnie zawsze pogardzać winny; — dla ciebie, panie, raczej przystoi, abys mnie swoją łaską i dobrocią pokonał.

— Mości Mephistophelesie! czyn ze swojej

strony po temu, abys był godnym mojej łaski i dobroci.

— Za to, żeś mi, panie, odjął najwyższe dobro na świecie, ja mam pochlebiać się do twojej łaski i dobroci?... Nie! tak przewrotnej logiki nawet w piekle nie znamy. Czyliż to nie twoim jest, panie, wyłącznym obowiązkiem starać się o osłodzenie mojej niedoli?...

— Miałbyś najwyraźniejszą w tej mierze sprawiedliwość, gdybyś do niewinnie cierpiących należał; ale na twoje nieszczęście sprawa Lucypera, której się poświęcasz, jest zupełnie innego rodzaju. Nie mniej przeto nie stawiaj moim rozkazom oporu; odpowiadaj na moje zapytania jasną i szczerą prawdę a znajdziesz mnie zawsze i łagodnym i łaskawym.

— O cóż panu dobrodziejowi idzie?... o tę warszawską literaturę?... A toćże Wiszniewski w Krakowie pisze historią literatury polskiej, tam więc o warszawskiej znajdziesz, panie, wszystko, czego żądasz; — i zaprawdę Wiszniewskiemu należy się prawdziwa cześć od jego ziomeków za tę tak olbrzymią a, pomijając drobniejsze usterki, nieskończenie pożyteczną pracę.

— W tej mierze zgadzam się z tobą najzupełniej; tylko że czci najgodniejszy Wiszniewski tak rozległej pracy nie prędko dokończy, a i cena tyle obszernego dzieła nie każdemu będzie przystępna.

— Malenka w rozlicznych zbytkach oszczę-

дноść wystarczy na kupno chociażby najdroższego dzieła; a jestże ciekawsze i więcej nauczające dzieło nad historią oświaty ojczystego kraju?... Dla kogo-by zaś dzieło Wiszniewskiego było zbyt obszerném lub zbyt drogiém, niechaj na-będzie Historią literatury polskiej w zarysach, tomów cztery, którą do druku przygotował i po-króćce wyda Kazimierz Władysław Wójcicki, rzeczy ojczystych dobrze świadomy i sumienny pisarz. Ta praca jako dzieło podręczne dla uczącej się młodzieży i nawet dla bardzo wielu ludzi, którzy się niestety! uczyć przestali, znako-mite przyniesie korzyści. \*)

— Czemuż ty, brysiu, zawsze tak szczeręj nie objawiasz prawdy?...

— Ale bo ja też nie chcę pana dobrodzieja nudzić ustawiczném mówieniem prawdy; prze-

\*) Historii literatury polskiej w zarysach przez Kazimierza Wł. Wójcickiego obecnie wyszło już tomów trzy, po cenie nader umiarkowanej, tom czwarty wyjdzie w miesiącu lutym 1848 roku. Wacław Alexander Maciejowski wygotował do druku 3 tomy Historii literatury polskiej, najbogatszej w nieznane dotąd szczegóły. Dominik Szulc pracuje także nad historią literatury polskiej i w Przeglądzie Naukowym umieścił wyborowy artykuł: *Rozwój zasad umysłu polskiego w piśmiennictwie*. Hippolit Skimborowicz wyda w bieżącym roku w dwóch tomach: *Dzieje literatury polskiej w dziewiętnastym wieku*. Kto się więc teraz historii literatury nie nauczy, to już chyba czytać nie umie albo do najmniej-godniejszych leniwców należy. A wszakżeż już i poprzednio dziekan uniwersytetu warszawskiego Feliks Bentkowski, przeznaczy Lesław Łukasiewicz, genialny Maurycy, a w roku przeszłym i były redaktor Przeglądu naukowego historią literatury polskiej napisali.

cież pan dobrodziej pamięta owo Łacinników przysłowie: „*varietas delectat*,“ właśnie więc dla rozweselenia pana dobrodzieja czasami pożartuję i kłamię, lecz nigdy w tej myśli, abym miał za-miar mego dobrodzieja rozgniewać.

— Już to tobie na wykrętach nie zabraknie. Dziękuję ci za chęć rozweselenia mnie, jednakże mieć pragnę i rozkazuję ci, abys nigdy nie kłamał.

— Co się też panu dobrodziejowi uwidziało, aby diabeł zawsze prawdę mówił, kiedy dzisiaj świat cały, bo niemal od dziecka z kolebki aż do starca nad grobem stojącego każdy i słowem i czynem majaczy, kłamię i łże; — a człowiek rozsądny kieruje mowę swoją do okoliczności i osobistych widoków.

— Za to, coś powiedział, wart jesteś, aby cię pokropić.

— Za to, żem prawdę powiedział?...

— Żeś wyrzekł łgę i potwarz.

— Otóż dzisiajszej nocy jeszcze przygotuję dla kochanego pana w złoto oprawne okulary z mojego własnego warsztatu. Jutro założysz je, dobrodzieju, na nos, a przez te okulary dopiero będziesz mógł czytać w głowie i w sercu każdego człowieka, co czuje i co myśli; a gdy aby jeden z tych wszystkich ludzi, z którymi przez trzy dni rozmawiać będziemy, żadnego uczucia lub żadnej myśli nie skłamię, natenczas nie tylko że się wyrzeknę Lucypera i wszy-

stkich spraw jego, ale nadto natychmiast wstąpię do Kapucynów i będę wiódł najpowszechniejsze życie na ziemi.

— Naprzód już winszuję ci tak cudownej przemiany i gotów jestem dzisiaj jeszcze zamówić dla ciebie habit.

— Niech sobie pan dobrodziej daremnego wydatku nie czyni.

— Czy ty myślisz, że ja ci potwarz puszcze na sucho i że cię w habit ubrać nie potrafię?...

— E! panie dobrodzieju! już ja nie raz przebierałem się w habit. — Ale nie o to idzie, abym się tylko przebrał; ja rzeczywistym, to jest istotnie świątobliwym zostanę mnichem, jeżeli pan dobrodziej chociaż jednego znajdziesz człowieka, któryby we wszystkiem bezwarunkową prawdę ogłaszał.

— Cóż ty, biesie, prawdą bezwarunkową nazywasz?... Bo prawda jest Bogiem, Bóg jest prawdą! Jeżeli więc doskonałość pojąć...

— Nie, nie, panie dobrodzieju! tak głęboko nie sięgam. Ja żądam tylko, aby każdy mówił to, co jest jego rzeczywistym przekonaniem, co on za prawdę w duszy swojej przyjął; — bo że Bóg ziarno prawdy rzucił w istnienie każdego człowieka, to jest rzeczą niewątpliwą. Ale o ile człowiek to ziarno pielęgnuje i do wzrostu w sobie samym uprawia, a o ile go zaniedbuje, ponieważ i niem gardzi, w tém leży cała

miara jego wartości i na téj skali ceni się ludzka prawda lub kłamstwo.

— Właśnie podług téjże samej zasady jutro sądzić będę; — zrób tylko, belzebubie, okulary, przez którebym mógł każdą myśl i każde uczucie w prawdziwém świetle obejrzyć.

— Nie tylko zrobię ale je jeszcze kochanemu panu w upominku na wieczną oddam własność.

— Bardzoś grzeczny.

— A! już to ja, panie dobrodzieju! jak jestem dla kogo szczery to szczery.

— Więc tak bez żadnego interesu chcesz mnie obdarować?...

— Przecież pan dobrodziej wiesz, że za te okulary mam odzyskać wolność osobistą.

— Tego nie przyrzekałem; lecz zrób tylko okulary a już osądzę, czyś na tak wielką nagrodę zasłużył.

— Szlachetny sposób myślenia pana dobrodzieja jest dla mnie najpewniejszą pomyślnego skutku rękojmią.

— Powiedz mi też nawiasem, dla czego ty się tak silnie odemnie wydzierasz? — Masz co jeść, masz co pić, kupiłem ci zawczoraj najmniejszy *rajtrok*, daję ci i pieniędzy na drobniejsze potrzeby, rozpościeram nad tobą opiekę, i czegoż ci jeszcze brakuje?...

— Alboż ja to jestem bezmyślném stworzeniem, dla któregoby jadło i napój za życie starczyły? — Nie urągaj, panie, mojej boleści...

patrz, co się w mém sercu dzieje i miej litość nademną...

Belzebub się rozbeczał i, łyż pazurami obcierając, tak smutną przybrał postawę, że i mnie się na żalność zebrało; dla tego obawiając się, aby mnie nie zmiękczył, oddaliłem się do sypialnego pokoju, tę mu tylko dając potuchę:

— Przestań się kwilić, raczej pracuj, gdyż tylko na tej drodze celu swojego dojść możesz.

Wychodząc widziałem, że bies, wyjmując z kieszeni diamentowe kowadło, świecę zadmuchnął.

*Warszawa dnia 21 czerwca 1841 r.*

o 12ej z północy.

Gdym dzisiaj o ósmej godzinie rano wszedł do pokoju Edwina, zastałem go siedzącego naprzeciw zwierciadła; — gorącym żelazkiem zawijał loki na swój diabelski głowiźnie.

— Czy ty znów chcesz jaką, błazeńską rolę odgrywać?...

— Nie! panie dobrodzieju!

— Dla czegoż więc głowę swoją w pudli-  
leńb zamieniasz?...

— Minęły już czasy, kiedy nieschludność była znamieniem wielkiego myśliciela; dzisiaj bardzo rozgłośni filozofowie noszą sukienki podług najnowszej mody a nawet przyjmują tytuły najniefilozoficzniejsze.

— Ubranie się w suknie najnowszego kroju,

gdy ten krój dogodniejszym się okaże, jest dla każdego właściwym; ale nie pokażesz mi dzisiaj znakomitego męża, któryby głowę, siedlisko rozumu, sztuczniemi kółkami błaznić sobie dozwolił; i kiedy widzę na młodym czerepie takie o kółkach staranie, zawsze się lituję nad jego umysłowem kalectwem.

— A jak pan dobrodziej byłeś młodym, nigdy loczków nie zawijałeś na głowie?...

— Nigdy.

— Od czegoż pan wyłysiał?...

— Od rozumu, belzebubie! Czy nie słyszałeś, że głupie głowy nigdy nie łysieją.

— Ja słyszałem, że mądre włosy z głupiej głowy uciekają.

— Spiriantus!...

— Przepraszam pana dobrodzieja! Ja tylko ośmieliłem się podrażnić kochanego pana.

— Ja ciebie podrażnię!... A cóż, zrobiłeś okulary?...

— Zrobiłem, jaśnie panie, i udały mi się przewybornie. Oto są na dni trzy do usługi pańskiej.

— Czy tylko oczom nie zaszkodzą?... Tyś gotów mnie wzroku pozbawić.

— A przecież jestem w mocy mojego dobrodzieja; mógłbyś mnie, panie, karać bez miary. Wreszcie żebym...

— Nie przysięgaj! Już ja ci wierzę, że nie

chciałbyś się narazić na mój gniew nieprze-  
błagany. Ale te twoje okulary trochę mnie  
cisną za uszami.

— Można bawełną albo jedwabiem owinąć.

— Mniejsza o to; ubieraj się, zaraz pójdziemy  
na miasto.

Ledwożeśmy wyszli na ulicę, spotkałem  
znanego mi chłopczyka.

— Edzio! dla czego nie poszedłeś dzisiaj do  
klasy?

— Ja właśnie idę do klasy.

— Tak późno?

— Dziś dopiero o 10ej przyjść nam kazali,  
bo panowie profesorowie mieli być na jakiejś  
sesyi.

Rzuciwszy na Edzia lekkie przez okulary  
spojrzenie, odrzekłem mu z powagą:

— Kłamstwo jest tak wielkim błędem, że  
po największej części do występków prowadzi!  
Za marymontskie rogatki nie zdążaj, — wyciągnij  
pod kamizelką ukryte kajety i ruszaj natych-  
miast do szkoły, w przeciwnym razie powiem  
twojemu ojcu, aby cię przykładnie ukarał.

Jeszcze przełknięty Edzio z oczu naszych  
nie zniknął a Zbrodniewski z radości, że mu

się okulary udały, rączki zacierał i cieszył się  
nadzwyczajnie, gdy na ulicy Królewskiej zabiegł  
mi drogę pan Telesfor Sztopnicki.

TELESFOR.

A! jak się pan miewasz?... dawno już pana  
Augustyna dobrodzieja nie widziałem. — Gdzie  
się pan kryjesz?... ani widnąć w salonach —  
cóż pan robisz?...

JA.

Zdrów jestem, moje zatrudnienia są nieod-  
mienne; — ale jakżeż się panu Telesforowi po-  
wodzi?....

TELESFOR.

Jam i nie bardzo zdrów, za wiele pracuję,  
za wiele piszę i czytam. W tych dniach za-  
mierzam wyjechać do Sztokholmu, potrzeba mi  
bowiem zajrzeć do rękopisów Jana Zamojskie-  
go, które Szwedzi podczas drugiego na Polskę  
napadu ze sobą uwieźli.

OKULARY.

Od sześciu miesięcy pióra nie wziął do rę-  
ki; prócz 4 tomów francuzkiego romansu, jak  
zwykle w lichém tłumaczeniu, nic zgoła nie  
czytał. Ścigany przez wierzycieli, czmycha do  
wujaszka w Podlaskie.

JA.

A kiedyż mnie pan na ślub zaprosisz?...

TELESFOR.

Jeszcze się nie zdecydowałem. Panna mi sprzyja, rodzice pragną, abym się oświadczył; — cóż, kiedy o posagu ani słowa nie mówią, a ja, prostą idąc drogą, bez 50,000 dukatów hrabianki nie wezmę; mam wprawdzie z łaski Boga szlachecką fortunę, która mi 30,000 złp. czystego dochodu przynosi, ale to zaledwie na kawalerskie starczy potrzeby, nie rzeknąc, że mnie same książki 10,000 złp. do roku kosztują!

OKULARY.

Raz tylko na teatrze widział hrabiankę, panna go wcale nie zna, rodzice nie wiedzą, że Telesfor Sztopnicki żyje na świecie; stałych dochodów nie ma, książek nie kupuje.

JA.

Trzydzieści tysięcy złp.! czystego dochodu, rzecz nie małej wagi.

TELESFOR.

Ze śmiercią mojego starego spodziewam się mieć rocznie do stu tysięcy.

JA.

Dobra ojca pańskiego w którym leżą powiecie?...

TELESFOR.

Nasz familijny majątek jest częściowo za Grodnem, a częściowo na Podolu.

OKULARY.

Ani jednej żerdzi nie mają.

JA.

I dokądże pan zdążasz w tej chwili?...

TELESFOR (z uśmiechem).

Mam małeńkie *rendez vous*, — tajemnica mojego serca.

OKULARY.

Biegnie do ciotki z błagalną prośbą o pożyczkę dwudziestu złp., gdyż nie ma za co obowią wykupić.

JA.

Już to, jak widzę, że z pana Telesfora wieczny Lovelace. Nie przeszkadzam, — życzę pomyślnego skutku, — bo obowią na bruku bardzo potrzebne.

Po samą czuprynę zarumienił się Telesfor, jam go uśmiechem litości pożegnał.

Na Saskim placu spotkaliśmy pana Szelażkiewicza, — szedł w zamyśleniu i kroki swoje do Saskiego ogrodu kierował.

JA.

Dzień dobry panu Szelażkiewiczowi!

SZELAŻKIEWICZ.

Upada się do nóg pana dobrodzieja.

JA.

Pan idziesz do ogrodu świeższego zażywać powietrza?

SZELAŹKIEWICZ.

Tak jest, mości dobrodzieju; — człowiek znękany niesprawiedliwością ludzi pragnie chociaż w ogrodzie chwil kilka odetchnąć.

JA.

A któż to pocziwemu panu niesprawiedliwość wyrządził?

SZELAŹKIEWICZ.

Kto chce to i wyrządzi.

Pożyczyłem panu Erazmowi 300 czerwonych złotych, od roku ani kapitału ani procentu nie płaci.

OKULARY.

Odebrał od marnotrawnego Erazina przekaz 14,000 złp. na najpewniejszą hipotekę dóbr ziemskich.

JA.

I żadnej, panie, nie masz nadziei odbioru tych trzystu czerwonych złotych?

SZELAŹKIEWICZ.

Właściwie mówiąc, jest i jakaś nadzieja; ale ja, łaskawy dobrodzieju, dając ostatni grosik mój, nie spodziewałem się mieć tyle kłopotów a może i straty.

OKULARY.

Stary lichwiarz kłamie, bo to nie jest jego grosz ostatni; ma on bowiem 150,000 złp. w Listach zastawnych, 90,000 w klejnotach, na

które pożyczył  $\frac{1}{4}$  część wartości, i 230,000 na hipotekach dóbr ziemskich i domów warszawskich; prócz tego jest w posiadaniu kilkunastu wexli osób pewnych, od których bierze po 2 procent na miesiąc.

ZBRODNIEWSKI do SZELAŹKIEWICZA.

Czy pan dobrodziej nie miałeś dawniej interesu z panem baronem Foch?...

SZELAŹKIEWICZ.

Z panem baronem Foch?... Miałem, miałem. — Niech mu pan Bóg nie pamięta. Wiele mnie zdrowia ten pan baron kosztuje.

OKULARY.

Wydarł mu resztę zaszarganego majątku, zyskał na baronie 60,000 złp.

ZBRODNIEWSKI.

Baron Foch mile pana dobrodzieja wspomina.

OKULARY.

Foch Szelażkiewicza na dno piekła przeklina.

SZELAŹKIEWICZ.

Już to bo i właściwie pan baron dobre ma serce a i nie zaszła żadna przyczyna, aby na mnie narzekać mógł; — rozstaliśmy się w zgodzie, podarowałem mu nawet 13 złp. kosztów sądowych.

OKULARY.

Śliczny z ciebie dobroczyńca! Niech pan Bóg każdego broni od takich podarków.

JA.

Wybieram się do pana dobrodzieja także z małą prośbą.

SZELAŹKIEWICZ.

W czymżeż mogę być łaskawemu panu usłużnym?...

JA.

Potrzebuję 6,000 złp.

SZELAŹKIEWICZ.

Z miłą chęcią wygodziłbym panu mojemu, ale żeby tylko pan Erazm uiścić się chciał.

OKULARY

Na jakąż to pewność, — hipoteka, srebra czy brylanty?...

JA.

Dam panu dobrodziejowi oblig urzędowy.

SZELAŹKIEWICZ.

Dla pana dobrodzieja dałbym i bez obligu, bez rewersu, ale Bóg świadkiem moim, że teraz jestem bez grosza, chybaby po Bożém Narodzeniu.

JA.

Za długo czekać, mój mości Szelażkiewiczu; nie mógłbyś, dobrodzieju, przyspieszyć? — dam

pewność hipoteczną, mam i nieco niepotrzebnych mi kosztowności.

OKULARY.

Serce lichwiarza febry z radości dostało.

SZELAŹKIEWICZ.

Kiedy kosztowności są niepotrzebne, to się panisko nie będzie spieszyło z odbiorem; ale mniejszaby tam było i o to, lecz, właściwie mówiąc, nie mam ja własnych pieniędzy, chybaby się postarał....

JA.

Bądźżeż więc pan dobrodziej łaskaw pomyśleć o tym interesie i przy wolniejszym czasie racz mnie odwiedzić.

SZELAŹKIEWICZ.

A możebym dzisiaj w poobiedniej godzinie złożył panu dobrodziejowi moje uszanowanie?

JA.

Dzisiaj jestem na cały dzień zamówiony, ale jutro oczekiwać pana będę o dziewiątej z rana.

SZELAŹKIEWICZ.

Służyć nie omieszkam i wszelkiego dołożę starania, abym szanownemu panu pomocnym być mógł.

OKULARY.

Abym najnieuczciwszą korzyść wyciągnął.

Z pogardą odwróciwszy oczy moje od starca lichwiarza, spostrzegłem dwie, na przeciw mnie idące panie, z którymi niedawno w domu moich krewnych miłą zrobiłem znajomość, a więc biegnę, witam i o zdrowie zapytuję.

PANI S....

Jesteśmy zdrowe i bardzo nam przyjemno, że pana widzimy. Pan obiecałeś nas wczoraj odwiedzić?...

OKULARY.

Pocóż nam drogę zachodzisz — spieszymy do magazynu mód — czegoż nas dręczysz swoją grzecznością?

PANI Z...

To się nie godzi nie dotrzymać słowa; wczoraj spodziewaliśmy się pana z pewnością.

OKULARY.

Były w teatrze, twoja *facyata* ani im na myśl nie przyszła.

JA.

Przyjazd do Warszawy jednego z moich dawnych znajomych, którego mam zaszczyt paniom przedstawić, — Pan Zbrodniewski, — nie dozwolił mi służenia paniom.

(Zbrodniewski się kłania z wielkiem umileniem pyszczką swojego).

PANI Z....

Przepraszamy, żeśmy pana posądziły o niegrzeczność.....

OKULARY.

Cóż to za przesłiczny młodzieniec!

PANI S....

Ależ pan może nam pokrótce nagrodzisz dzień wczorajszy?

JA.

Po odjeździe pana Zbrodniewskiego służyć paniom nie omieszkam.

PANI Z...

Bardzo proszę, bardzo proszę.

OKULARY.

Kiedy się nie domyślasz, że bliższe zapoznanie nas z twoim młodym przyjacielem byłoby dla nas prawdziwą grzecznością, to też nie potrzebujesz się spieszyć z twojemi odwiedzinami.

JA.

Ale ja paniom drogi czas zabieram; panie zapewne idą do magazynu mód, z kądem tak piękne wyglądają kapotki i stroiki.

PANI S....

Więc nas pan za tak maluczkie osądzasz, że mogłybyśmy przenosić kapotki i stroiki nad miłą z uprzejmym literatem rozmowę?

Sliczny chłopiec ten jego znajomy.

JA.

Wdzięczny jestem pani za pochlebne wyrażenie, niemniej przeto drogiego czasu paniom dłużej nie zabieram i mam honor panie pożegnać.

PANI Z...

Przypominamy obietnicę....

Nastąpiły ukłony, umilenie usteczek, wyrazy: *adieu, adieu, au plaisir de vous revoir*. Piękne koteczki pobiegły do magazynu mód, jam ze Zbrodniewskim dalej wędrował.

Wchodząc na ulicę Wierzbową, spotkaliśmy świetny orszak pogrzebowy: za trumną postępowało grono dzieci, w grubą żałobę przybranych. Na widok dzieci w żałobie zdjąłem co prędzej okulary z nosa i schowałem je do kieszeni, lękałem się bowiem, abym nie dostrzegł znieważenia świętego względem rodziców uczucia. — Zbrodniewski naglił mnie, abym ten pogrzeb koniecznie przez okulary obejrzał; odmówiłem mu stanowczo, zapytał więc złośliwie:

— Proszę pana dobrodzieja, dla czego oni za dnia tyle gorejącego światła niosą przed trumną i przy trumnie?

— Dla uczczenia pamięci zmarłego.

— Ja rozumiałem. że oni mu dla tego przyświecają, żeby na cmentarz trafić mógł.

— Głupis z twoim dowcipem; jesteś biesem, więc nie rozumiesz prawdziwego znaczenia używanych przez nas obrządków.

— (*Zurąganiem:*) Być może, że i nie rozumiem, ale się domyslałem, dla czego pan dobrodzieju okulary schowałeś. Ja panu dobrodziejowi bez okularów opowiem. Ten świetny pogrzeb jest kłamstwem, gdyż nieboszczyk był lotrem; on przez całe życie ani jednego obowiązkowi względem bliźnich nie wypełnił uczciwie.

— Milcz! albo zawołam chłopca, aby cię uderzył tym krzyżem, który niesie przed księżmi.

Zgrzytnął diabeł zębami, oczy spuścił na ziemię i tylko sobie coś mruczał pod nosem. — Minał nas orszak pogrzebowy; udaliśmy się na ulicę Trębacką i zamierzyłem wstąpić do bióra informacyjnego pana Alojzego de Mogiła Stankiewicza, gdy mnie ktoś lekko za rękę uchwycił; — obracam się, był to lokaj w liberyi herbowej.

— Przepraszam jaśnie pana, mój pan prosi jaśnie pana, żeby jaśnie pan był łaskaw wstąpić do mojego pana.

— A któż jest twój pan?...

— Ja jestem od pana hrabiego Bączyńskiego.

— Od pana Apolinarego?...

— Tak jest, jaśnie panie.

— Dawnożście przyjechali do Warszawy?...

— My tu już jesteśmy od tygodnia; ja dwa razy chodziłem do jaśnie pana, alem jaśnie pana nigdy nie zastał.

OKULARY.

— Nie był ani razu.

— Gdzież stoicie?...

— Tu w Rzymskim hotelu; właśnie mój pan zobaczył jaśnie pana przez okno.

— Dobrze, mój ciemny panie, idę do twojego jaśnie pana.

Na wschodach przyjął mnie Apolinary szczerym uściskiem.

W pokoju przedstawiłem mu Zbrodniewskiego, usiedliśmy na kanapie, podano sygara po gr. pol. 16. Zbrodniesio ugryzł konce od trzech sygar i rzucił na ziemię, dopiero czwarte *zdawało mu się, że będzie dobre.*

— Cóż ty, kochany Apolo, w Warszawie porabiasz? Podobno już od tygodnia gościisz w murach naszej stolicy.

— Przyjechałem za procesem i chciałbym na mój majątek skarbową zaciągnąć pożyczkę.

— Procesujesz się i skarbową zaciągasz pożyczkę a mieszkasz jak książę? Ileż tu płacisz?...

— *Na honor* nie pytałem się; zdaje mi się, że nie więcej jak 24 złp. dziennie.

ZBRODNIIEWSKI.

Trzy pokoje z przedpokojem wcale nie drogo.

JA.

Z kimże i o co się procesujesz?...

APOLINARY.

Z moim ojczymem o 150,000 złp.

OKULARY.

Podziel przez 3, odejm 10, będziesz miał 40 — potrać 27,000 wybranych za kwitami, pozostanie 13,000, które Abraham, dając 4,000 złp. i dwie angлизowane klacze, na własność swoją nabył i do hipoteki zapisał.

JA.

I któregoż masz mecenasa?...

APOLINARY.

Mam ich aż pięciu.

OKULARY.

Ani jednego.

JA.

Pięciu mecenasów! to nie żarty! Musiałaby sprawiedliwość mieć uszy chyba dębowemi kołkami zabite, gdybyś sprawę swoją przegrać miał.

APOLINARY.

Przegrać *słowo honoru* mogę. A cóż to nie znasz mojego ojczyzna?... Tylko że trafił swój na swego, i *słowo honoru* ja także wiem, kiedy mi trawa pod nogami rośnie. — Ależ à propos, nie wiesz tu o kim w Warszawie, coby mi 500 dukatów na 2 miesiące pożyczył?

JA.

Obecnie nie mam takich znajomości.

ZBRODNIEWSKI.

A pan Szelażkiewicz?...

APOLINARY.

Szelażkiewicz?...

ZBRODNIEWSKI.

Malenki, zawiędły, mieszka na Grzybowie.

APOLINARY.

Przypominam sobie; — ale ja z tym starym trochę na bakier.

OKULARY.

Zahipotekował na moją wiośnię 25,000 złp., dłużny mu jestem dwuletnie procenta; stara się o wywłaszczenie Pałęcina.

ZBRODNIEWSKI.

To ja tu znam jeszcze jednego pocziwca, który jest na moje rozkazy; — niejakiś pan

Hab'sfeld von Butterling, człowiek bardzo uczynny i trudniący się *con amore* wypożyczaniem pieniędzy.

APOLINARY.

*Bien obligé* Mr. Zbrodniewski, bardzo mnie pan dobrodziej obowiązuje swoją grzecznością, *słowo honoru* oddam na termin, wielką mi pan zrobisz uczynność. *Vraiment* nie wiem, jak mam mojemu panu podziękować. — Czy pan dobrodziej nie masz familii na Wołyniu?

ZBRODNIEWSKI.

Litwa, Wołyn, Podole, Ukraina, panie! to wszystko moje gniazdowe strony, i tam to właśnie mam kilka tysięcy dusz mojego własnego majątku.

OKULARY.

Diabeł prawdę powiedział.

APOLINARY.

Bardzo, bardzo mi przyjemnie, że z panem hrabią miłą zrobiłem znajomość.... Auguście! czy nie bylibyście panowie łaskawi odwiedzić mnie wieczorem; będę miał u siebie kilku z młodzieży, zrobimy partyjkę...

OKULARY.

Chce ograć Zbrodniewskiego.

JA.

Przepraszam cię, mój Apolo, ale dzisiaj służyć ci nie mogę.

APOLINARY.

Ale *à propos* może panowie pozwolą małeńkie u Francuza śniadanko?...

JA.

Apolinku! schowajmy na inny raz.

APOLINARY.

Guciu! *słowo honoru* będę się gniewał! — Ja tak szczęśliwy, że cię zobaczył, że tyle miłą zrobiłem z panem Zbrodniewskim znajomość....

OKULARY.

Zbrodniewski mówił, że kapitalista Butterling jest na jego rozkazy, mógłby nawet za mnie poręczyć; koniecznie potrzeba serdeczną z nim zawrzeć przyjaźń, spoić, do wdzięczności zobowiązać.

JA.

Jeżeli już koniecznie....

APOLINARY.

*Słowo honoru* że mi wielką wyświadczysz łaskę; ty nie wiesz, Gučiu, jak ja ciebie kocham!

OKULARY.

Zdaje mi się, że on tego pana Zbrodniewskiego pod szczególną trzyma opieką.

JA.

Tylko cię uprzedzam, że ja wiele pić nie mogę.

OKULARY.

Jeszcześ, dobrodzieju, nigdy za kołnierz nie wylał.

JA do ZBRODNIEWSKIEGO. (na stronie)

Twoje okulary lubią żartować.

ZBRODNIEWSKI (najciszej do ucha)

Jak Lucypera kocham, że nigdy nie kłamią.

APOLINARY (wciskając ciasne rękawiczki i biorąc kapelusz).

A więc służę najłaskawszym panom.

Ponieważ pan Apolinary, jak twierdził, jest z Marym cokolwiek na bakier (*winien mu 740 złp.*), udaliśmy się przeto do Michaux'ta na Krakowskie Przedmieście.

Siedm godzin upłynęło przy śniadaniu, zastaliśmy bowiem u Francuza wielu znajomych; nasze towarzystwo urosło do liczby trzynastu, a oprócz naszego towarzystwa było jeszcze mniejszych i większych ośmnaście innych towarzystw, nie licząc osób pojedynczych. Talerzniki, których z francuzkiego *garsonami* nazwano, nie mogli nastarczyć usługi; — szampan i tylko szampan lał się potokiem, wykwinnych potraw i przysmaczków zupełnie przybrało, i kto twierdzi, że u nas są ciężkie czasy, winienby zwiedzić restauracye francuzkie. Zbrodniewski był w brylantowym humorze; moje okulary na wszystkie strony prostując fałsz i kłamstwo, z usilnością zwracały moje uwagę

ku ubocznym stoliczkom, przy których pewne strony z pewnemi stronami układały się o bieg interesów; w oddzielnych pokoikach szaloną częstacą starzy swawolnicy usiłowali zapewnić sobie chwilowe względy pięknych twarzyczek, a wszędzie dobry ton objawiany mową francuską, — wszystko szumno, huczno, głośno, wszystkiego obficie, a wszędzie *radość i weselość*...

O ile kawiarnie warszawskie są dla kilku tysięcy uboższej młodzieży codziennym polem najniegodniejszego próżniactwa, o tyle francuskie restauracye najskuteczniej dopomagają naszym paniczom do sybarytyckiego życia i marnotrawstwa bez miary. Zapłacić trzysta, czterysta i pięćset złp. za śniadanie dla dwóch, trzech osób, jest w naszych francuskich restauracyach rzeczą tak bardzo zwyczajną, że garsony z uśmiechem pogardy patrzą na tych, którzy za kilka złotych posilić się pragną.

Przy końcu téj bachandryi celem oczyszczenia moich okularów, bo kłamstwo i dym zagranicznych sygar zanadto je ściemniły, wyszedłem na balkon; patrząc na przeciwległy dom Towarzystwa Dobroczynności, pomyślałem:

„Iluż to znów z tych paniczów, którzy dzisiaj tak zbyt kowne płacą śniadania, szukać będzie kawałka razowego chleba w tym przytułku ubóstwa i nędzy.

„Znam w Warszawie bardzo wiele osób, które poczytałyby za hańbę nakarmić się w polskiej

garkuchni, — które twierdzą i dowodzą, że bez francuskich restauracyi żyćby nie mogły, — a pomiędzy temi osobami jest kilku ichmościów, którzy dochody swoje opierają na najbrudniejszej podłości. Ubiór żurnalowy, wykwintne jedzenie, wizytowanie dam *du haut parage*, francuskie romanse wydania bruxelskiego, sygara hawańskie, znajomość w balecie, — oto są żywioły tych pasażników, snujących się po wszystkich salonach, nadających ton stolicy, dumnie spoglądających na klasę pracującą, na ludzi czynu, zasługi i cnoty.“

Już była godzina 6. z południa, gdyśmy wyszli z restauracyi francuskiej; że zaś postanowiłem ten pierwszy dzień poświęcić przyjrzeniu się przez okulary tak nazwanej wyższej klasie naszego społeczeństwa, dzień drugi klasie średniej, a dzień trzeci ubogim rzemieślnikom i wyrobnikom, a więc biorąc ze sobą Zbrodniewskiego i starannie sadowiąc na nos okulary, pośpieszyłem z wizytami do... do... do... do... do... Jakoż w tych wszystkich miejscach byłem po trzy pełna kwadranse, i byłoby może jeszcze czasu starczyło na wizytę siódmą, ale już przy szóstej obydwie szkiełka pękły w moich okularach. Nad wszelki wyraz szczęśliwy Zbrodniewski, gdy ja ten dziennik spisuję, w przyległym pokoju puka młoteczkiem, nowe fabrykując szkiełka.

Wymienić wszystek fałsz i wszystkie kłam.

stwa, które na tych sześciu wizytach poznałem, przechodzi zakres mojego dziennika, o tém należałoby księgi spisywać; — zresztą, któż też może się spodziewać znaleźć prawdę tam, gdzie przeszlufowane udelikatnienie, to jest obłudę za powinność, pochlebstwo za obowiązek poczytują; gdzie otwartość nazwanoby najśmieszniejszym głupstwem, szczerość umysłowem ograniczeniem, a jawność uczuć manierą karczemną; — gdzie udatne zamaskowanie się jest porządkiem dziennym, istotą ich życia — i niemal że nie cnotą.

Szych na kołnierzach liberyi, brązy w pokojach, w ustach ludzkość i religia, w sercu brud, w duszy nikczemność, w umyśle nakońc grube niepojęcie przeznaczenia naszego, — oto jest mniej więcej całość tego, com dzisiaj na sześciu wizytach przez moje okulary zobaczył. — Szczegółów nie wyliczę, boby się jeszcze ktoś rozdasany przyznał do swoich fatalności i gotówby się pokusić do najhaniebniejszego kroku, — niestety! tak bardzo u nas praktykowanego.

Jutro i pojutrze zwiedzając klasy średnie i najniższe, będę wyraźniej sym.

*(Ciąg dalszy w tomie piątym).*

KONIEC TOMU CZWARTEGO.

## POMÓWKA.

Na spodziewany zarzut, że w tym drugim oddziale Ramotek znajduje się znaczna część artykułów, już poprzednio drukowanych po rozmaitych pismach czasowych, odpowiadam:

1. Odświeżanie pamięci nie jest bezkorzystnem, a zasilania pism czasowych nikt z rozsądnych i poczciwych ludzi bynajmniej za złe poczytać nie powinien.

2. W trzecim oddziale, to jest w piątym i w szóstym tomie wszystkie Ramotki będą całkowicie nowe a czytającej publiczności najzupełniej nieznane.

— A więc nie sierzdzić się, nie szurmować i nie mantyczyć, ale cierpliwie na trzeci oddział zaczekać a ręczę, że się pogodzimy. Tymczasem proszę mnie kochać i plotek na mnie nie robić, przedewszystkiém zaś Ramotek moich nie ganić, gdyż tego nadzwyczaj nie lubię.

## DONIESIENIE LITERACKIE.

W miesiącu bieżącym puścimy w świat sze-  
roki 6 arkuszy druku jako pierwszy poszyt  
zbiorowego pisma pod nazwą: *Dzwon literacki*.  
Badania historyczne, filozoficzne i wszelkie prace  
z dziedziny naukowej, o ile możność, najprzy-  
stępniej objawione, wyborowa poezya, powie-  
ści, humorystyka, i co lepsze płody z pięknego  
piśmiennictwa; głównie zaś rozprawy krytyki  
naukowej, piękniczej i obyczajowej: oto naj-  
ogólniejsza treść istoty naszego pisma, któremu  
znaczny zasób już ukończonych artykułów i cią-  
gła pomoc wielu współpracowników pomyślnie  
rozwiniecie zapewnia. Cztery tomy, a każdy  
zawierać będzie po 5 poszytów najmniej 5 ar-  
kuszowych, czyli 100 arkuszy druku w osemce  
złożą *oddział pierwszy*, przed rokiem 1847 ukoń-  
czyć się mający. Ponieważ pismo nasze nie  
jest czasowe (peryodyczne) ale zbiorowe, nie  
oznaczamy więc ani dni, ani tygodni do wy-  
dawania poszytów; tyle tylko zapewnić nam  
wolno, że ciągle baczyć na to będziemy, aby  
czytelnicy nie długo na odbiór poszytów cze-  
kali. Ś. p. Ig. Krasicki ogłosił w jednej ze

swoich bajek: „Wiesz, dla czego dzwon gło-  
śny?... — Dla tego, że próżny.“ Czcii najgo-  
dniejszy bajkopisarz snąc mówił o dzwonach  
bez serca; nasz *Dzwon literacki* nie może być  
próżny, jest w nim bowiem serce, — a daj  
Boże! aby był najgłośniejszy. Usilném zaś na-  
szém staraniem będzie, aby zawsze tylko *na*  
*dobre dzwonił kazanie*.

Au. Wi.

Warszawa 1 grudnia 1845.

Ale, ale byłbym zapomniał wprowadzić  
o podrzędnym w życiu duchowém przedmio-  
cie, lecz w ziemskiej pielgrzymce o warunku,  
niestety! bardzo koniecznym, to jest o mar-  
nym kruszcu, o zaspokojeniu papierników i ze-  
cerów, gdyż nie podobna żądać od nich bez-  
płatnej grzeczności. Stanowimy przeto cenę za  
100 arkuszy czyli za 4ry tomy, z 20 poszytów  
złożone, złp. 48; chcąc jednakże dla czyteln-  
ków posiadanie \*) *Dzwonu literackiego* ułatwić,  
przyjmować będziemy i częściową przedpłatę  
po złp. 12, — na urzędach pocztowych, we  
wszystkich księgarniach krajowych i zagrani-

\*) Najdogodniej jest każdemu mieć swój własny egzemplarz;  
jakżoż bowiem musi być wielka nieprzyjemność, gdy znajomy lub  
przyjaciół na pożyczenie najciekawszego *dalszego ciągu* każe cze-  
kać, aż przeczyta pani B..., pan O..., pan D..., a czasem i oświad-  
czy, że mu zaniewieruszyl się ów najciekawszy *ciąg dalszy*; — cóż  
to wówczas za narzekanie ciekawej płci pięknej...

cznych i w naszym pomieszkaniu obecnie pod N<sup>rem</sup> 467 lit. B. przy ulicy Senatorskiej w Warszawie, wprost klasztornego muru OO. Reformatów.

Powyższe ogłoszenie, w Gazetach warszawskich umieszczone, powtarzając w tém miejscu, zawiadamiam czytelników Ramotek, że pierwszy poszyt Dzwona literackiego w dniu 22 Grudnia 1845 r. już wyszedł z druku, — poszyt drugi i następne już są na wylocie. Że zaś Dzwona literackiego tylko 1000 egzemplarzy odbijać kazałem, każdy ze spóźniających się z przedpłatą sam sobie winę przypisze, jeżeli pozbawiony zostanie łatwej sposobności czytania tego pisma zbiorowego, o którym to tylko sumiennie wyrzec mogę, że już samą rozmaitością, współpracownictwem rzeczywiście znakomitych autorów, jest o wiele lepszym od Ramotek, — a co więcej, że jest pismem europejskim, bo wychodzi w Europie, i do innych części świata wcale przesyłanem nie będzie, chyba w tłumaczeniu; — wiadomo zaś, że najlepsze tłumaczenie nigdy oryginałowi nie zrówna.

*Au. Wi.*

Warszawa 1 stycznia 1846.

## SPIS RZECZY, w tomie czwartym zawartych.

|                                                            | Stron. |
|------------------------------------------------------------|--------|
| O owcach i o owczarzu.....                                 | 3      |
| O medycynie i o lekarzach.....                             | 37     |
| Najdroższa na całą Litwę śmietanka.....                    | 57     |
| Z życia mojego dziadka.....                                | 65     |
| List pana Jerzego Łysiny i znalezione przez niego pisanie  | 77     |
| List do redaktora Biblioteki warszawskiej z załączeniem    |        |
| artykułu p. t. Wścieklizna literacka.....                  | 103    |
| List do redaktora Biblioteki warszawskiej, donoszący o na- |        |
| tarczywości chorujących na mdłości literackie.....         | 117    |
| Środek, zakończenie, początek; Środek i maleńki dodatek    |        |
| Gilsomina i Remigiusz, — wierzytelny odpis z oryginal-     | 135    |
| nych listów.....                                           | 173    |
| D. E. F. dla pełnoletnich dzieci.....                      | 181    |
| Pomówka.....                                               | 213    |
| Doniesienie literackie.....                                | 214    |



58614

SPR REEDY





